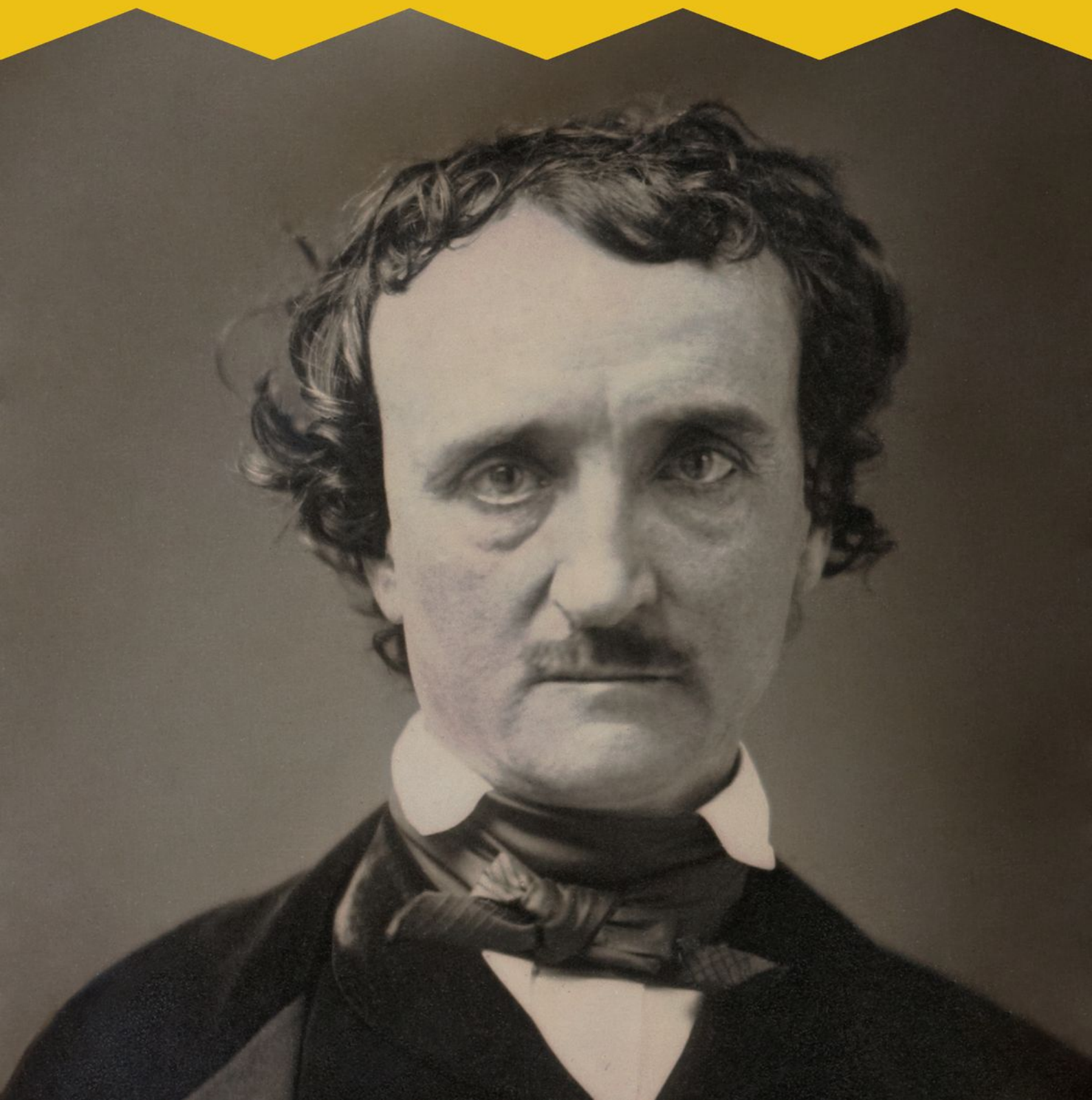


Edgar Allan Poe i jego nowelle



FELICJAN FALEŃSKI

Edgar Allan Poe i jego nowelle

I

Może o żadnym społeczeństwie nie pisano tyle, co o Stanach Zjednoczonych. Stał się nareszcie kraj ten spowszedniałym ogólnikiem idei gorączkowego ruchu, ducha spekulacji, realizmu w życiu, i poniekąd słusznie. Zkąd przyszło do podobnej anomalii na tej ziemi cudów natury? — nie tu miejsce rozbierać. Przynajmniej, że pośród tych olbrzymich dziwów niepodobna skarłowacieć człowiekowi, a tém mniej zależeć pola; gdziebądź się zwróci, energii mu potrzeba, siły, czynności nieustrudzonej, ciągłej. Więc działa i idzie naprzód, a szybko, a gorączkowo, bo czasu szkoda, a życie krótkie. Tam nic nie ma powszedniego, nic oklepanego — wszystko wyjątkowe. Gdzie dziś las dziewiczy, jutro na tém miejscu droga żelazna, miasto, plantacja bawełny — nie wiedzieć jeszcze co: dość że coś będzie — co bądź — co najwięcej zysku przyniesie. Nie ma tam czasu wahać się nawet. Patrząc na olbrzymie dziwy natury, wśród których roi się to nieustrudzone mrowisko, mimowolnie uznać przychodzi, że tam ludzie dorastają tego co ich otacza. Niezglębione puszcze, niezmierzone łąki, góry najnieprzebytejsze, zlewy wód najpotężniejsze na świecie, potworna płodność ziemi dziewiczej — człowiek tam zdobył to wszystko z zadziwiającym pośpiechem. Do przemysłu głowy dodał rąk pracę, i uzbroiwszy się w cierpliwość pająka, zasnuł siecią dróg żelaznych wszystko co się dało, i łowi w sieć tę nawet to, co się nie łatwo daje. Ameryka, ta wielka anomalia polityczna, z czołem miedzianém, uwieńczoném 33 gwiazdami, (z których kilka stało się już spadającami), owa ogromna pół-gielda, pół-rękodzielnia, stąpa naprzód, podobna do nieczulego bożyszczka Dżaggrenatu; niektórzy ciągną jej rydwan w pocie czoła, inni popychają naprzód tę kamienną ideę, niektórych druzgocze ciężar mechanizmu kół jej. Piszczalkami parowymi wygwizdała przeszłość której nie ma, i dobrze jej oddychać w dymie, przez pół złożonym z fabrycznych wyziewów, przez pół z kadzideł, które sama chętnie sobie dogadza; — a przecież duszno w tym dymie człowiekowi, któryby nie samym tylko chlebem karmić się pragnął. Nazwijmy rzecz właściwém mianem. Ameryce niesłychanie żyć pilno. Podobna ona do tych młodych organizacji, noszących w sobie zarody suchot dziedzicznych. Choroba nie ogarnęła jeszcze płuc dziewczyny, ale tkwi w jej duszy instynktowe przecucie krótkości życia; więc się śpieszy używać, przepada za światem i jaskrawemi wrażeniami, i patrząc na potęgę podniecenia gorączkowego, które ją utrzymuje w stanie ciągłej extazy, możnaby się pomylić, biorąc ją za jedno z energią sił żywotnych. Ameryce brak zastanowienia. Prawda, że dziwy pracy, wytrwałości i przemysłu człowieka, współlubieją się tam bezustanku z potworną płodnością świata pierwotnego; ale Amerykanin przemyka się szybko wśród cudów najcudowniejszej w świecie przyrody, i zdaje się nie zwracać na nie uwagi, i zdaje się nie mieć nawet świadomości wrażeń poetycznych, jakie ztamtąd wieją. Mieszka w domu zajezdny, w wagonie lub paropływie, myśl jego lata telegrafem, dzienniki brzmią mu tylko reklamą i ogłoszeniami. Gorączka pracy mechanicznej, przemysłu eksploatacyjnego, spekulacyj handlowych, absorbuje tam człowieka, i pociągając go korzyściami, staje mu się wyłącznością. Pośpiech zbyt mało zostawia czasu do obejrzenia się, do zstąpienia w siebie. Przy podobnych warunkach bytu, reakcja nawet wyglądać musi jak ocknienie się roztargnionego. Chmary zapaleńców idą tam za pierwszym lepszym szarlatanem, obwieszczającym koniec świata na dzień naznaczony, albo porzucając wszystko, przenosząc się po nad Słone Jeziora i w Góry Skaliste, wskrzeszać Biblijne Patryarchaty. Stoliki magnetyczne, pukające duchy i piszące ekierki, wzrosły tam do godności dogmatu. Świeżo

temu, przerwała się świetlista przepaska zjednoczenia, ześliznęła się z niej gwiazda jedna i stała się błędną, i była obawa, żeby za jej przykładem nie poszły błędzić i drugie, z czego, po pewnym czasie mógłby powstać niezbyt pożądany, oddzielny system planetarny. Nakazano zatem post powszechny, skrucę i modlitwy. W podobny sposób uspokaja się w płaczu dziecko, które się uderzyło głową o róg stołu: „wiesz, biedny stół, uderzyłeś go czołem, i o małoś nie zepsuł; przeproś go za to, i nie płacz”. Rzeczą jest godną uwagi, że w ogóle u narodów pozbawionych imaginacji, reakcja dzieje się zwykle na korzyść wiary — najczęściej nawet łatwowierności tylko. Zmysł czysto mechaniczny, gorączkowe życie ruchu, pragnień i niepokoju, olbrzymie siły zasoby, ale i błędy olbrzymie, — oto Ameryka córka podstarzałej Europy, — zbyt mądre dziecko, które się nie uchowa. Dalekoż ona zajdzie, wzięwszy sobie złotego cielca za przewodnika? — co nam do tego — niech idzie naprzód — Bóg ją zatrzyma kiedy czas będzie.

Mając mówić o jednym z najpoetyczniejszych pisarzy Ameryki, niepodobna nam było nie potrącić o prozę życia społeczeństwa, wśród którego żyć mu dano, pośród której szamotał się jak przykutą Prometeusz — biedny Prometeusz XIX wieku, zamiast łańcuchów spętany pajęczą siecią, ale podniesioną do potęgi potrzeb życia i wymagań świata, i przeto nie łatwą do zerwania. Był poetą — tém gorzej dla niego. Lat temu nie wiele, Cypryan Norwid, ów umysł głęboko kontemplacyjny i tyle rozumiejący przeszłość, iż wygląda jakby nie żył *dzisiaj*, zagnany okolicznościami, ujrzał się zagnaną na tej ziemi obiecanej. Ale nie wytrzymał tam długo, i przy pierwszej sposobności otrząsł nawet złotodajny proch jej ze swego obuwia, wyrwijając się, byle prędzej z powrotem. Tchu tam brakło poecie; gdzie stąpił, gdzie się zwrócił, czuł się odosobnionym, jakby go nakryto szklannym dzwonem, którego ścian się nie domyślasz, bo są przejrzyste, a z pod których jednak wyciągnięto powietrze. Tęskny myśliciel nie miał nawet spocząć gdzie, wśród tej obczyzny zaprzęgniętej tylko jutrem. W istocie, z czemuże tam przestawać wędrowcowi odbitemu od swoich? W Ameryce całej nie znajdzie cegły jednej, któraby była mchem porośła.

Gdzie nie ma przeszłości, tam i ojczyzny być nie może; bo ojczyzna, to koniecznie ziemia z prochu ojców. Komu brak ojczyzny, tego i narodowość jest tylko czystą abstrakcją. Jeżeli prawdą jest, jak to ktoś powiedział, że imaginacja jest to wspomnienie podniesione do ideału, tedy u narodu tak bezwzględnie *dzisiejszego* jak jest Ameryka, wszelki wyższy polot myśli, musiałby być albo całkiem niemożliwy, albo czuć się zmuszonym szukać sobie narodowości po za obrębem społeczeństwa, wśród którego go rzucono. Pierwsze wymyka się warunkom zwyczajnego porządku rzeczy; co do drugiego zaś, bliższe rozpatrzenie się w literaturze Stanów Zjednoczonych, zdaje się stwierdzać tę zasadę a priori. Bo nareszcie, wszelkie możebne formy natchnienia i myśli, są koniecznym wcieleniem tego, co krąży w powietrzu, którem się oddycha, co zewsząd opływa duszę, co wypieszcza serce od najpierwszego poczucia bytu. *Powołany* przychodzi do gotowego, bierze zkład nie bądź i wypowiada jak sam chce uniesienia wiary i tęsknoty, które każdy ze zdziwieniem poznaje być swojemi własnymi. W społeczeństwie, pozbawionem imaginacji a nie mającém narodowości, zkład brać soki pożywne laurowi? Co tu wypowiadać poecie? Czy przeszłość która jest wczorajsza, czy obrazy życia społecznego upływającego pomiędzy giełdą a kantorem, czy naturę o którą nikt nie dba, czy dramat którego nie ma w życiu? Weźmy jedynego pisarza amerykańskiego, który ma wszelkie pozory miejscowości, Fenimore Cooper, tak niegdyś wziętego w Europie, z powodu obrazów bohaterskiego życia pierwszych osadników, które robił przedmiotami swoich powieści. Żyje on na morzu, zapuszcza się w niezgłębione puszcze pierwotne, tuła się naprzemian: to po niezmiernych jeziorach, to nie wychodzi z olbrzymich płaszczyn zielonych, błakając się od wigwamu do wigwamu. Opisy jego mają powab urozmaicenia i nowości, ale po za obrębem tych niespodzianek, spotyka nas monotonia nużąca; niby dowiadujemy się tam coraz czegoś nieznanego, ale resztę, zdaje się nam mimowolnie, jakbyśmy już oddawna umieli napamięć. Przy wszystkich pozorach oryginalności, Cooper jest tylko naśladowcą Waltera Skotta. I jak zwykle bywa w takim razie, upodobał sobie wady swego mistrza i przesadził je najstaranniej jak tylko potrafił. Drobnostkowość opisów posunął do potęgi katalogu, cudowność jest u niego potworną, zbieg wypadków przechodzi zwykle prawdopodobieństwo. Odejmiemy mu dzięk wielkość i energię życia pośród natury pierwotnej, słowem to wszystko, co stanowi tło, które znalazł gotowe; a pozostanie Amerykanin Stanów Zjed-

noczonych, chłodny, praktyczny umysł, rozumujący efekta, który sobie zrobił zadanie być narodowym, ale się nie obrachował z możliwością. Wady Coopera są wadami braku imaginacji i gorącego przekonania. Jest coś automatycznego w ruchu działaczy jego utworów, nawet w szczegółach ich życia, nawet w grze ich namiętności; w opisach brak jest perspektywy, kolorystyce zbywa na ciepło.

Mówiąc o Cooperze, mimowolnie się potrąca o drugiego pisarza z tejże samej epoki, równie prawie jak tamten popularnego w Europie. Chcemy tu mówić o Waszyngtonie Irwingu, który przynajmniej nie naśladował nikogo. Człowiek ten bierze z kąd nie bądź, byle nie z przed siebie. Błąka się po Hiszpanii, Anglii, Holandyi, Niemczech, Francji, opowiada stare podania w sposób lekkomyślny, nadrabia humorem gdzieby uczucia potrzeba, i wszędzie czuć go parweniuszem, zazdrosnym tradycji, a nie umiejącym ich cenić. Co do tego ostatniego względu, uderzającą jest rzeczą zwrot pisarzy amerykańskich młodszego pokolenia. Okoliczności zmieniły się nie mało. Dziś Ameryka zanadto się już oddaliła od Europy, żeby jej przebaczyć nie miała niektórych jej wyższości moralnych. Tradycje tej ostatniej, arystokratyczność, że się tak wyrażę jej pochodzenia nie dzisiejszego, zasoby pamiątek jej domowych, z których wieje tyle uroku, wprawiają w mimowolną zadumę niejednego z jej myślicieli. Szukają: co by tu podstawić na miejsce ich braku? i trafiają rozmaicie. — „Szczujmy grobowce chwały dawnych władców tej ziemi, — woła W. Cullen Bryant — „szlachetny to był ród tych, co przepadli wraz z dziewiczymi lasy. Na zgłiszczach to przeszłości ich odwiecznej, na ziemi utworzonej z prochu ich pokoleń, pobudowaliśmy nasze miasta wczorajsze. Przywłaszczyliśmy sobie ich dziedziny, ziemia ich jest naszą ojczyzną, z ich źródeł zaspakajamy pragnienie, z ich zagona chleb się nam rodzi, cień drzew sadzonych ich dłonią chroni nas od skwaru. Wydarliśmy im wszystko, szanujmy przynajmniej ich mogiły!” — Niepodobna omylić się na znaczeniu tych wyrazów. Jest to postęp cywilizacyjny, przywiedziony do skruchy, na samą myśl osamotnienia jakie sobie zgotował. — Są znowu tacy, którym duszno w surowych powijkach purytańskiej hypokryzji, czy też nazbyt wolno w tym braku jakiegokolwiek wiary obowiązującej, udającym tolerancją. Ci mają jakby przecucie naiwnego średniowiecznego katolicyzmu, który powleka ich utwory kolorytem rzewnej jakiegóż, mglistej, zadumanej tęsknoty. Nathaniel Hawthorne podobny jest do wędrowca ewangelicznego, siadającego w bramach miast i u wiejskiego kołowrota, i nieustannie będącego w podróży. Wszędzie niesie on z sobą swoje pełne tajemniczości parable, nieco monotonne, a które się kręcą w niezbyt obszernym kółku klasztornego jakiegoś mistycyzmu, przypominającego średniowieczne upodobanie w tańcach śmierci. — Inni znowu, jak Longfellow, czują potrzebę wprost zapożyczyć się od starej Europy. Dość zacytować Ewangelię i Złotą Legendę. Longfellow jest pisarzem znakomitego znaczenia, i dla tego kierunek który obrał, może pociągnąć za sobą dość ważne następstwa w dalszym rozwoju literatury Amerykańskiej. Zdaje się on ulegać wpływowi Emmersona, który jest wychowawcą filozofii niemieckiej (Nowalis), ale i bez tego, umysł ten głęboko komtemplacyjny, byłby zaszedł tam, gdzie się teraz znajduje. Wychowywał się on w Europie, i odbywał podróże po Szwecji i Danii. Zna wybornie literaturę francuską i hiszpańską i nawet trudni się ich wykładem. Okoliczności te łatwo tłumaczą wpływ któremu uległ. Mglista poezja Północy wykołysała do słodkiego dumania umysł jego, z natury tęskny i łagodny. Stare podania, miejsca pełne wspomnień, wspaniałe katedry, zwałiska zamków, z całym swoim urokiem średniowiecznym utkwily w tej pamięci, tak chętnie rozglądającej się po za sobą. Ztąd i kreacje Longfellowa noszą cechę wrażeń, które umysł jego przechował. Elsy, Ewangeliina, są to istoty pochodzenia czysto Skandynawskiego. Charakter też poezji jego, nie wyłączając nawet formy, zdradza miejsca rodzinne. Zarzuciłby jej można sentymentalność zbyt naiwną i jakąś melancholiczną monotonię. (w ogóle pisarze amerykańscy grzeszą brakiem urozmaicenia), ale trzeba mieć na względzie, że to roślina przesadzona z pod obcego nieba, musi zatem przycierpieć nieco, zanim znowu sama sobą żyć zacznie. Co do przedmiotów które poeta osobliwie upodobał, w tych widocznie przeważa żywioł katolicki, idea bezwarunkowego poświęcenia, cichej rezygnacji, spokoju duszy opartego na wyrzeczeniu się siebie. — Tak więc, najznakomitszy dziś poeta Stanów Zjednoczonych, jest tylko przybranym dzieckiem Ameryki, zrodzonym z matki Europy, której z miłością zawdzięcza pierwszy pacierz nauczony, pierwsze abecadło. Chętnie on, po opustoszałych przestrzeniach natury pierwotnej, towarzyszy wygnańcom europejskim, prześladowanym przez amerykańską

filantropię, lub kołysze się podaniami wieków średnich, których wiarę naiwną, namaszczenie ducha i tajemniczą cudowność, nie tylko zrozumieć, ale i wypowiedzieć potrafił. Z tej utylitarnej prozy życia, która go zewsząd otacza, lubi on, że się tu wyrazimy słowy wielkiego Mickiewicza „wybiegać za wioski granice”, albo uciekać w przeszłość.

Od niego wprost już jest przejście do Edgara Poe, który uciekł nierównie dalej jeszcze, bo w mgliste krainy ducha, gdzie przestrzenie nie mają krańca, tak jak przeszłość początku. Extatyczny sposób zapatrywania się jego na życie ziemskie, silnie zdaje się być związany z burzliwym niesłuchaniem chciwem wiedzy, a głęboko analitycznym usposobieniem tego dziwnego ducha. Dlatego, zanim przystąpimy do rozbioru pism poety, pozwolimy sobie przebiec najprzód jego niespokojne, pełne szalonych wrażeń, zbyt gwałtownie płonące życie, które dlatego może zgasło przedwcześnie. A może też, w samą porę zdmuchnęła Opatrzność tę gwiazdę świetną, uprzedzając, żeby się nie wyłamała z warunków zwykłego rzeczy porządku, i nie stała zgubną sama sobie. I w istocie, człowiek podobny mógł tylko skończyć jak Alfred de Musset, jeśli nie jak Gerard de Nerval.

II

Edgar Poe urodził się w Baltimore, w r. 1813. Powiedziećby można, że usposobienie do ekscentrycznego, wichrowatego życia, miał sobie przekazane dziedzictwem. Ojciec jego, snadź także szalenięc niepośledni, pokochał ognicie niejaką Elżbietę Arnold, aktorkę angielską, wielkie nic dobrego swego czasu. Będąc synem zasłużonego generała i jedynym potomkiem bardzo szanownej rodziny, nie mógł liczyć w tym względzie na pobłażanie niczyje. Dlatego, nie radząc się nikogo, ani się zastanawiając długo, wykradł młodą awanturnicę, uciekł z nią i pojął za żonę. Wkrótce, czy przyciśnięty potrzebą, czy też idąc za popędem jednego z tych dziwacznych zachceń, którym chętnie holdował, wszedł do teatru i począł występować publicznie, z niewielkim jednak jak się zdaje powodzeniem, gdyż nędza towarzyszyła mu wszędzie, gdzie się ruszył. Wreszcie na uwiecznienie wszystkich szaleństw karnawałowego swego życia, umarł wraz z żoną, zostawiając w najostatniejszym opuszczeniu troje drobnych dzieci. Ludzie litościwi porozbiórali sieroty. Edgara wziął niejaki Allan, zamożny negocjant z Richmondu, ponieważ dziecię piękne jak aniołek, bardzo podobało się jego żonie. Byli to ludzie bezdzietni, umyślili zatem przysposobić za syna małego sierotę, i odtąd zaczął się on nazywać Edgar Allan Poe. Zrodzony wśród namiętnych szarów życia awanturniczego, wykarmiony na tułaczce i gwałtownych przeprawach, wreszcie pchnięty w nędzę i osamotnienie, i nagle wyniesiony do dostatków, pośród pieczołowitych starań które go otoczono, zapamiętał wszystko, z wszystkiego sobie zrobił użytek, i wyprzedzając lata, począł się rozglądać po świecie, przedwczesny ciekawiec, z natury chciwy wiedzy, wrażeń i użycia. Wkrótce z przybranymi swymi rodzicami odbył podróż do Anglii, Szkocji i Irlandyi, i umieszczony na pensji u niejakiego doktora Bransby w Stoke-Newington blisko Londynu, przebył tam lat parę, dając dowody nadzwyczajnych zdolności. Wrócił do Richmondu mając lat 9, i uczył się dalej pod kierunkiem najlepszych nauczycieli. W trzy lata potem wszedł do uniwersytetu w Charlottesville, gdzie zadziwił wszystkich niesłuchaną swoją zdolnością do matematyki i nauk przyrodzonych; ale więcej jeszcze przedwczesnym a szybkim dojrzewaniem, wreszcie gwałtownymi namiętnościami, które zagnała wrzecz zaczęła ta osobliwsza natura. Wypędzony ztamtąd dla gorszącego życia (miał lat 12), wrócił do domu, ale nie na długo. Rozpusta, gra w karty i długi, poróżniły go wreszcie z przybranym ojcem. Z nagle świeżo wybuchłe powstanie Grecyi, rozżarzyło umysł zapaleńca: przedsięwziął udać się tam, w celu przyłożenia ręki do poparcia słusznej sprawy. W tym miejscu następuje dziwna przerwa w szczegółach jego życia; żaden z jego biografów zapisać jej nie umie. Zapowiedano nieraz w dziennikach amerykańskich bliższe objaśnienia w tym względzie, historią przygód, nawet korespondencyje Edgara z tej epoki, — ale nigdy jakoś nie przyszło to do skutku; snadź wypadki musiały być drażliwe nieco. Koniec końcem, ni ztąd ni z owąd, zamiast w Grecyi, znajdujemy go w Petersburgu, na bruku, bez pasportu, wplątanego w jakąś niezbyt czystą sprawkę, i w skutek tej zmuszonego odwołać się do ambasadora amerykańskiego, dla uniknięcia surowości praw rosyjskich, i uzyskania możności powrotu do swego kraju. Wróciwszy tam w roku 1829 (szesnastym swego życia), zdaje się, że miał czas jakiś szczerze postanowienie ustatkowania się nieco, wprosił się jakoś do

szkoły wojskowej w West-Point, i wkrótce począł znowu wprawiać w zdumienie olbrzymiemi postępami, jakimi zdobywał naukę; ale wtém, chwilowo tylko uśpione instynkta rozpusty, ocknęły się w nim z większą jeszcze niż wprzód gwałtownością, i w skutek tego znów został wypędzony z zakładu. Jednocześnie zaszły okoliczności, które na życie jego wywarły wpływ stanowczy. Zdaje się, że od ostatniego poróżnienia się z swoim ojcem przybranym, przestał mieć u niego względy jakiegokolwiek. Stosunki całkiem ochłodłe, spajała jeszcze jakotako pani Allan, która istotnie kochała Edgara sercem matki — najwięcej przebaczącą na świecie. Teraz i ten węzeł pękł z jej śmiercią. Allan zamierzył ożenić się po raz powtórny. W tém miejscu przypada drugi mglisty ustęp w życiu Edgara, którego podobnież nikt z jego biografów nie jest w stanie rozświetlić dostatecznie. Obawiamy się powiedzieć zawiele, z różnych jednak względów wnosićby można, że pomiędzy młodym szaleńcem a narzeczoną przybranego jego ojca, istniały stosunki, przypominające tyle znaną sytuację Don Karlosa. Nic zatem dziwnego, że się nareszcie rozeszli stanowczo. Miał też Allan niebawem dziecko z swojej żony, i Edgar ujrzał się w końcu wydziedziczonym całkowicie. W tych okolicznościach wydał na świat niewielki zbiór poezyj: była to pierwsza jego praca. Utwory te nie znalazły powodzenia. Wiotkie i przejrzyste jak obłoki, fantazje te, dziwnie miękkiego, świetlanego kolorytu, po większej części nawet obrazy tylko o niepewnych zarysach, gdzie rozplywają się i zléwają idee harmonii najoderwańszych, ułamki teorii o zamiłowaniu piękna, i platońskie tęsknoty duszy do ukochanego ideału, nie mogły żadną miarą znaleźć uznania, jakkolwiek zdradzały już przyszłego mistrza. Przyciśnięty niedostatkiem wszedł do wojska, ale nieszczególny to musiał być żołnierz, skoro przedewszystkiem nie potrafił walczyć z sobą. Raz włamawszy się w krainy ducha, trawiony gorączką odkrył wśród ciemności, niespokojny i marnotrawny duch ten, rozpuszc z życia przeniósł do umysłu, i począł żyć sam z sobą, rozmyślając ponuro a niesforne, nurtując po głębiach, lub wylatując jak rzadko dano komu. Nie czując się jeszcze dość oderwanym od rzeczywistości, czy też znajdując, że nie widzi wkoło siebie dość jasno, począł podsycać sobie wyobraźnię gorącemi napojami. Niebawem przeszło mu to w nałóg, z nałogu w nadużycie, bo człowiek ten nie umiał nic robić w miarę; i oto, widzimy go znowu wypędzonego z wojska, w nędzy i ostatniem poniżeniu. Próbował pisać, ale odpychano obdartego szaleńca, który zdawał się już nie mieć nic wspólnego z rozsądkiem. Miał już zginąć marnie pod ławą którejkolwiek szynkowni, albo w pierwszym lepszym rynsztoku, gdyby nie najpocieszniejszy w dziedzinie sądu o sztuce wypadek. Właściciel któregoś z przeglądów, naznaczył był dwa premia do konkursu: jedno za najlepszą powieść, drugie za poemat. Edgar dostarczył jedno i drugie, ale napróżno naprzykrzał się o przyjęcie rękopismów — gadać z nim nawet nie chciano. Wreszcie dla pozbycia się natręta, wzięto od niego papiery i porzucono gdzieś na boku, bo nikt ich czytać nie myślał. Przypadkiem prezes komitetu zwrócił uwagę na piękność charakteru którym były zapisane, wziął się przerzucać je machinalnie, i zdumiał się nie mało, znajdując, że i treść odpowiadała wdziękowi kalligraficznemu. Na skutek tego zdumienia, nieznanemu autorowi przyznano nagrodę. Jestto zapewne wypadek nie często się powtarzający w historii sztuki, żeby kalligrafia zaprowadziła kogo na wyżyny parnasu. Bądź co bądź, piękność form zdawała się być gwiazdą przewodnią Edgara. Niegdyś dzieckiem ocalała go od zmarnienia, dziś jakimśbądź kosztem dała go poznać światu. Kennedy, przewodnik stowarzyszenia przysądżającego premium, zapragnął zrobić znajomość z uwieńczonym autorem, który obok tego nie bazgrał jak kura. Wtedy Poe stawiał się obdarty, obdrapany, ale z gęstą miną. Był zapięty aż po brodę, zapewne nic nie mając pod spodem. Kennedy ulitował się jego szubrastwa, i polecił go niejakiemu Tomaszowi White, który właśnie zakładał naonczas nowy Przegląd w Richmondzie. Ten White znalazł właśnie w Edgarze to, czego mu było potrzeba. Miał pieniądze, ale brakło mu głowy. Poe dał mu swoją głowę, i stanął na czele przedsięwzięcia, które wkrótce za jego powodem przedziwnie zakwitło. Miał wtedy lat 22. W piśmie tém (nazywało się ono „Southern Literary Messenger”) ukazały się najprzód: *Nieporównane przygody niejakiego Hansa Pfaal*, następnie wiele innych drobniejszych nowelli, które z kolei rozbiemy poniżej. Przez dwa lata zdumiewał Edgar Poe czytelników Przeglądu tego: to niezwykłą śmiałością, że nie powiem zuchwalstwem pomysłów swojej fantazyi, to dziwną poezją pełną tajemniczych głębi, to nareszcie niesłychanie trafne poglądy krytycznymi, dotykającymi najróżnorodniejszych przedmiotów, — tak dalece wielostronne

zasoby posiadał umysł ten niepospolity. Zdaje się, że ciężkie próby jakie tylko co był przeszedł, zniechęciły go na czas niejaki do życia nicporządnego, kumania się z oberwańcami, kieliszka i pochmurnych dumań pośród zgielku zakopconych szynkowni. Przyniewolony zobowiązaniem, pracował dużo, i widząc, że mu się z tym dobrze dzieje, powoli wciągnął się w obcowanie z ludźmi dobrego towarzystwa, i zamiłowanie godziwych wrażeń życia spokojnego. Wkrótce, ulegając słodkiemu wpływowi tych nieznanym sobie dotąd rozkoszy, pokochał młodą, pełną zalet osobę, i zatęskniwszy do cichego domowego szczęścia, zapragnął zrobić z niej sobie towarzyszkę dożgonną. Wirginia Cleram było nazwisko tej pięknej, dobrej, łagodnej, ale nadewszystko jak się zdaje wielce odważnej, i przeto godnej lepszego losu kobiety, która nie zważając na przeczucia matki, skłoniła się powierzyć swą przyszłość Edgarowi. Nie można wiedzieć jak długo była szczęśliwą z owym cudakiem, najmniej podobno stworzonym na męża, — to tylko pewna, że właściciel Przeglądu zaczął z nim mieć wkrótce życie mocno cierniowe. Pióro w kął poszło — Przegląd począł nie mieć redaktora. I przykro powiedzieć, ale wcale to nie dla młodej, pięknej i słodkiej jak anioł żony, wcale nie dla cichego, pełnego powabów szczęścia domowego, ani choćby tylko przez grzeszne lenistwo, zaniedbał Edgar tych przyjętych na siebie, a tak z godnych z swoim powołaniem zobowiązań. Dwa lata trwał już ten nowy powrót marnotrawcy na drogę porządnego życia — było to długo — zadługo nawet jak na niego. Złe popędy kipiały sobie w cichości i szukały tylko powodu do wybuchu. Właśnie w tym czasie napisał był osobliwszy poemat pod napisem *Kruk*. Powodzenie tego utworu, czy też zadowolenie, że mu się udało, sprawiło, że w przystępie radości, poszedł po staremu upić się na potęgę, i wracał do domu najczelniejszą ulicą New-Yorku, czepiając się ścian i zataczając na przechodzących. Z kolei wróciły znowu nocne hulanki, butelka i karty, stosunki z wesołymi dziewczętami, wycieczki po szynkowniach, przeplatane rynsztocznymi przygodami. Właściciel Przeglądu zmuszony został odjąć mu wreszcie jego redakcją, a z nią i 500 dolarów, ściśle z nią związane. Zostały mu tylko obowiązki w osobie żony, która nie wniosła mu wprawdzie nic prócz serca, ale też tego serca i nie odebrała, choć mogła to zrobić, przekonawszy się jak je umieściła lekkomyślnie. W tym miejscu rozpoczyna się nowy peryod życia Edgara. Błędne, cygańskie, koczujące, wichrowate, pełne przygód, pełne silnych wrażeń wałęsanie się po świecie, z którego nie odpocznie już aż w mogile. Widzimy go po wszystkich zakątkach Stanów Zjednoczonych. Przenosi swoje manatki od miasta do miasta; bywa pod wozem, ale bywa i na wozie. Pije, poniewiera się; pracuje gorączkowo, wypływa, dobrze mu się dzieje, znów wpada w błoto, znów redaguje jakiś przegląd. Raz bywa obdarty, drugi raz modnie ubrany; tu napisał coś wielbionego powszechnie; tam ścigają go za długi; owdzie widziano go leżącego w rynsztoku. Wśród tych dziwnych kolei losu, tworzy on i puszcza w świat szereg prac najróżnorodniejszych: diatryby filozoficzne, rozbiory, poezye, estetyczne studia, ale mianowicie nowelle, których wydaje wreszcie zbiór jednolity, pod osobliwszym napisem *Dziwadeł i arabesków*. Tymczasem gorszące jego życie zwraca na niego surowość opinii publicznej. Dzienniki wymierzają mu chłostę w obwieszczeniach głoszących dużymi literami: że żona *znanego powszechnie* Edgara Poe umiera na barlogu z głodu i nędzy. Nieszczęśliwa istotnie wkrótce potem cierpieć przestała. Czy na skutek rozpaczki jaka go ogarnęła po jej stracie, czy wyrzutów, którymi go zewsząd z tego powodu obrzucano publicznie, czy nareszcie jako nieuchronne następstwo nadużyć rozpusty, a najpewniej z tych trzech przyczyn razem połączonych, dostał Edgar napadu szaleństwa. Ale bo też i było oszaleć od czego. Zapewne mało kogo zapozwano przed sąd równie surowy, mało kogo przygwożdżono do równie obelżywego pręgierza. Odtąd, co bądź przedsięwziął, potępiano bez litości. Gdzie bądź się zwrócił, odrzucano go z pogardą; dokąd bądź uciekł, wszędzie wysyłano w ślad za nim głos nieubłagany, jakim niegdyś Bóg widzący, ścigał Kaima. Bez wątpienia winy były wielkie, ale też i miłosierdzie wielkie być powinno. — Przez czas jakiś po tych wypadkach, Edgar jakby wpadł w wodę. Zapewne, przebywszy przełom obłąkania, długo bardzo przyjść do siebie nie mógł. Zdaje się, że ówczesny to stan swój duszy kręśli on w jednej z późniejszych nowelli swoich, noszącej napis: *człowiek tłumu*. Prerażające jakieś rozdwojenie ducha, spotęgowywa i tak już okropne wrażenie tego studium psychologicznego. Autor tylko co wyszły z silnych organicznych wstrząśnień, rozpatruje się wkoło siebie, i mimowolnie idzie w ślad za jakimś człowiekiem, który ani na chwilę nie może pozostać samotny. Mówi o nim jak o osobie drugiej, ale czujemy dowodnie,

że to on sam jest tym nieszczęśliwym, nieubłagany pędzonym z miejsca na miejsce, a nie mogącym nigdzie znaleźć spokoju. Słowa prawdy, które zakończą ten mistrzowski ustęp, przesywają dreszczem. — „Człowiek ten,” — powiada on, — „wszędzie nosi z sobą swoją zbrodnię. Naprawdę gonić za nim — na co się zdało, uczyć się o nim czego jaśniejszego? Osobliwsze to miłosierdzie Boże nad niewinnością, że serca podobne nie łatwo czytać się dają.” — Zdaje się, że zniechęcony do świata i życia, czas jakiś przepędził w najzupełniejszym odrętwieniu ducha, nic nie tworząc, czy też tylko nie dając nic wiedzieć o sobie. Tak przynajmniej wnosić można z owoczesnych uwag po dziennikach, w których obwiniają go o pogardę świata, zbrzydzenie sobie stosunków z ludźmi, i bierne próżniactwo. W tym jego opuszczeniu, matka zamężonej Wirginii, była mu opatrnością prawdziwą. Straciwszy jedyne dziecko, nieszczęśliwa ta kobieta, wszystkie uczucia swoje przelała na tego, którego z takim wyrzeczeniem się siebie, kochała jej córka. Nie małą już było rzeczą przebaczyć mu, ona uczyniła więcej, bo zapomniała mu wszystkiego. Przybrała go sobie za dziecko swego serca, otoczyła tkliwymi staraniami, z jego szczęścia zrobiła sobie cel życia. Trzecia to już z kolei matka, którą miał ten człowiek: cóż więc dziwnego, że się wychował nie tak jak przystało? Nieco się opamiętawszy, dla chleba zapewne, wziął się znów do pracy z gorączkową gorliwością. Ale już odtąd przedsięwziął nie dać się wyzyskiwać dziennikarzom, do których miał nie jedną krwawą urazę. Żeby się mózgi obejść bez nikogo, zapragnął mieć swój własny Przegląd, i dla uzbierania sobie potrzebnego na to funduszu, ogłosił publiczne wykłady. Rozpoczął je w New-Yorku, czytaniem i komentowaniem *Eureki*, wielkiego filozoficznego poematu, rozwijającego pomysły kosmogoniczne. Nowe to zjawienie się Edgara, ściągnęło mu chmary słuchaczy. Pod wrażeniem uciech z tego powodu, począł znowu pić bez pamięci. — Nie wiadomo co go skłoniło porzucić wreszcie New-York, gdzie mu się tak dobrze dziać zaczęło. Widzimy go znowu wałęsającego się po Wirginii od miasta do miasta, i wszędzie urządzającego wykłady. Liczył w tym podobno na poparcie dawnych swoich zwolenników i towarzyszy szkolnych z Charlottesville i West-Point, co go też i nie zawiodło. Przybywa wreszcie do Richmond, pociągnięty wspomnieniami lat dziecińczych. Przyjmują go tam z uniesieniem, witając w nim szczyt ziemi która go wydała. I zaprawdę szczyt się nim wtedy było można. Jakoś ustatkował się był zupełnie, wypiękniał, wyszlachetniał. Przypuszczają nawet niektórzy, że się dał wciągnąć do towarzystwa wstrzemięźliwości. Zdaje się, że około tego czasu począł także myśleć o powtórnym ożenieniu, zwłaszcza, że znalazła się druga na świecie kobieta, równa w odwadze, niedawno temu zmarnowanej Wirginii. Szczęściem Pan Bóg nie był się jeszcze od niej odwrócił. Było już po zapowiedziach, kiedy ktoś z przyjaciół spotkawszy narzeczonego, począł mu wieszować tego, jak mówił, że wszechmiar szczęśliwego wyboru. Na te słowa Edgar spochmurniał i zamyślił się złowrogo. Być może, że wspomnienie biednej, zbyt wczesnie zmarłej, zbyt szybko zapomnianej Wirginii, przesunęło się jak mglisty obłok po jego umyśle. — „Nie wieszaj mi,” — rzekł przyjacielowi, — „dopóki się nie przekonasz, że się istotnie ożenił.” — Powiedziawszy to, wszedł do piérwszej z brzegu szynkowni, upił się po staremu, i wprost zamtąd udał się w odwiedzinę do swojej narzeczonej, która ma się rozumieć, jeśli wyszła do niego, to zapewne tyle tylko, ile potrzeba było, żeby go pożegnać raz na zawsze. Ułatwiwszy się w taki sposób z przyszłym swoim szczęściem domowym, rozpoczął odczyty *o pierwiastku poetycznym* w których rozwija teorie estetyczne, nieco trudne do przyjęcia za pewnik. — „Cel poezji,” — powiada tam, — „ma być tej samej natury, co jej źródło; nie powinna zatem mieć na względzie nic innego, nad siebie samą.” — Paradoks ten umiał on przyoblec w najpoważniejsze formy, a popierając go niewyczerpaną swoją erudycją, nadał mu pozory pociągającego przekonania, do czego miał talent sobie tylko właściwy. To tłumaczy, dlaczego odczyty te były może najwięcej uczęszczane ze wszystkich, które był dotąd otworzył. Zachęcony tym przyjęciem, zamierzył położyć wreszcie kres dalszym objazdom, i osiąść w Richmondzie, na resztę życia. Ale miał jeszcze coś do załatwienia w New-Yorku, więc puścił się w drogę, nie zważając, pomimo przestróg przyjaciół, na niezbyt pewny stan swego zdrowia. Przybywszy wieczorem do Baltimore, uczuł się gorzej jeszcze; kazał zanieść swoje rzeczy do dworca kolei idącej do Filadelfii, a sam wstąpił do szynkowni, napić się czego pokrzepiającego. Zdaje się, że pokrzepiał się tam, zwyczajem swoim, nieco zanadto; gdyż dnia następnego, o brzasku dziennym, znalaziono go bez znaku życia na bruku ulicznym. Musiano go obedrzeć podczas nocy, bo nie było przy

nim ani pieniędzy, ani papierów żadnych, i dlatego zrazu nie można się było dowiedzieć nawet, kim był w istocie. Ktoś z przechodzących poznał nieszczęśliwego. Dotrzwziono się w nim życia, i zanieśiono do najbliższego szpitala, ale tam skonał niebawem, w konwulsjach tak zwanego *delirium tremens*. Stało się to 7 października 1849 r. Miał wtedy Edgar lat 37. Dziwnym zbiegiem wypadków umarł w miejscu swego urodzenia, tak jak zakończył także swoją karierę literacką w Richmond, gdzie ją był rozpoczął. —

Życie tego osobliwszego człowieka, jednego z najświetniejszych myślicieli swego czasu, życie tak dziwnie pozapelniane, tak gorączkowo, tak niemiłosiernie pośpieszne, tak rozpasanie rozrzućne, tak zużyte aż do nadużycia, tak szybko pozbyte, a o którym nie można jednak powiedzieć, żeby było zmarnowane — daje wiele do myślenia. Zaledwie uwierzyć można, że trwało tylko lat trzydzieści kilka. Miał Edgar zwolenników zagorzałych, miał i zapalczywych nieprzyjaciół. Pierwsi usiłowali go zrobić przeczystą ofiarą na ołtarzu ludzkości, drudzy gorzej go jeszcze mieszały z błotem, niż się sam mieszał. Walka pomiędzy nimi przeżyła nawet poetę. Co do nas, nie oszczędzaliśmy go w szczegółach jego życia, ale go też i kamienować nie myślimy. „Chcąc mnie sądzić, nie zemną trzeba być, lecz we mnie,” powiedział to niegdyś wielki żeglarz do towarzyszy usiłujących odwieść go od niebezpieczeństw burzy; „ja płynę dalej, wy idźcie do domu!” I potem jeszcze: — „wielkie serca... są jak ule zbyt pełne. Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.” — I czyliż należy wymierzać drogi meteorom, według teorii wiecznie jednostajnego ruchu, jakiemu podlegają planety? Miał Byron wszystko co zapełnić może zwyczajne życie: blask urodzenia, otwartą drogę do dostojności, bogactwa, powodzenie w świecie, a przecież zerwał z siebie te wszystkie ozdoby, i podeptał je z pogardą; bo właśnie, „to były grzechy jego żywota.” Lat temu nie wiele, pewnego mglistego poranka, na jednej z najplugawszych ulic Paryża, znaleziono zwłoki młodego człowieka, powieszzonego na kracie od okna. Byłto Gerard de Nerval. — Dlaczego? Zkąd mu się to wzięło? — spytał wtedy nie jeden z tych, co go widzieli nieraz świetnym, wesołym, lubiącym świat, co żyli z nim zblizka, co go *niby* znali. Niedługo potem, Alfred de Musset, ten płomienisty burzyciel, zgasł dnia pewnego dość nagle. — Co mu było? tak młody! pewnie chorował? — Nie, truł się powoli, aż się i dotruł. — Na wieść tę obudziła się nawet Akademia, której był drzemającym sekretarzem. Niegdyś Hejne, ów najsmutniejszy z humorystów, ile razy mówił o Alfredzie, nazywał go zawsze, „*ce jeune homme d'un si beau passé*”. On jeden go rozumiał, on, co się sam zapijał na śmierć szyderstwem, tak jak tamten piołunówką.

Edgar Poe był jednym z tych ludzi wyjątkowych, podobnych do aerolitów, o których długo wierzą, że są wyrzutkami wulkanicznymi z innego świata. Natura podobna bywa logiczną właśnie tylko w fałszach, które zadaje sama sobie. W jednej ze swoich nowelli zastanawia się on z entuzjazmem nad prawdziwymi warunkami szczęścia. Liczy ich cztery: życie na otwartym powietrzu, miłość kobiety, pogardę wszelkiego rozgłosu i stworzenie jakiego piękna nowego. Proszę mi w tym poznać życie, spędzone pomiędzy szynkownią a podejrzanym domem; proszę odgadnąć człowieka, który jak dziecko przepadał za oklaskiem, i który w niejednej robocie swego ducha wyraźnie szuka brzydoty jedynie dla jej powabu. A przecież rzecz to prosta. Posłuchajmy tylko, co mówi znowu w przedmowie do Eureka: — Księgę tę,” — powiada on, — ”przypisuję tym, którzy wiarę swą włożyli w marzenia, jako w jedyną rzeczywistość”. — Kiedy mi potem mówią: że nie przebiegał w towarzystwach, — wcale się temu nie dziwię. Dla człowieka noszącego swój świat w sobie, świat zewnętrzny jest bezwzględnie pustynią. W najlepszym on jak i w najgorszym towarzystwie, zawsze będzie równie samotny. Ci co go bliżej znali, powiadają o nim, że najczęściej był milczący. Jeśli się zaś ożywił, nieraz z najpoetyczniejszego uniesienia przechodził nagle w cyniczne wybryki, zasmucające swoją płaskością. Nie trudno wierzyć temu. Dość zrobić sobie pojęcie człowieka głęboko zatopionego w sobie, który zapomniał się na chwilę i począł myśleć głośno. Taki jeśli się zagna opatry, że rozmawiał sam z sobą, rad jest zniweczyć wrażenie tej słabości, a na to im gwałtowniejszy środek, tym mu lepszy. Lubił rozpustę, — gdzie zbytek bogactwa, tam i o rozrzućność nie trudno. Natura twórcza podsyca się zniszczeniem; wulkaniczne jej pierwiastki nie dają jej chwili spoczynku; zgnilizna ma dla niej powaby soków żywotnych. Powiadają, że nikt nad niego nie potrafił być plugawszym oberwańcem, nikt miewać znowu formy wykwinniejszej, nikt się nad niego dokładniej sponiewierać, nikt świetniej królować nie umiał; bywał spodlonym i ohydny, i bywał pięknym jak geniusz. Dla krótkości miejsca

rozberzmy bliżej jeden tylko rys jego charakteru — dzieje jego serca. Jakaś Lenora była pierwszą jego miłością. Stracił ją, czy też nie istniała nigdy — trudno wiedzieć — dość, że ją kochał właśnie może dlatego. Wkrótce uczucia swoje przeniósł na biedną Wirginię. Wziął ją i zmarnował, bo on wszystko zmarnować musiał czego się dotknął, zaczawszy od siebie. Niby ją kochał, a tęsknił wiecznie do tamtej, zawiesiwszy sobie portret jój po nad stolikiem, gdzie pracował. A przecież kiedy mu umarła Wirginia, uczuł jój stratę aż do obłąkania. On wtedy ją dopiero w najlepsze kochać zaczął, kiedy jój już nie było. Z kolei zapomniał Wirginię dla innej, którą znowu w jednej chwili kochać przestał, skoro mu już nic nie przeszkadzało do szczęścia. Bo człowiek ten rad ślubował tylko niepodobieństwom. Mniej więc wszyscy gonimy za tém, czego nie ma na świecie ziemskim, ale utrapieńcy podobni do Edgara popędowi temu oddają się jawniej i zupełniej jakoś; mniej ich krępują względy świata, czy też więcej mają odwagi zdeptać je i być im panami. Co do pijaństwa Edgara, to powiadają, że go wcale nie posuwał do zbytku. Lada odrobina czegoś mocniejszego, zdolną była odebrać mu przytomność rzeczom tego świata. Rzecz łatwa do pojęcia, że umysł, u którego podniecenie było stanem normalnym, najprostszymi środkami mógł dochodzić do ekstazy. Przy takich warunkach, okoliczności jak najbardziej obciążające, stają się tylko dopełnieniem koniecznym. Widziano Hoffmana przepędzającego nocę całe w knajpach przy kuflu. Upojony wyziewami i gwarem, w tej ciemnicy oświetlonej w pół cieniu, pośród obłoków dymu fajczanego, był on u siebie, był sobą, dla siebie tylko jednego. Ci co się patrzą na rzeczy nienamagalne, snadź nie zawsze widzieć je mogą równie dokładnie. Zapewne, dla spotężnienia sobie władz duszy, potrzeba im niekiedy zobojętnić umysły.

Kończąc tych kilka słów pobrażania, wcale nie myślimy ośmielać niemi tych, którym się zdaje, że dość łać w siebie wódkę szklankami, wycierać sobą towarzyskie baliki i przewalać się po rynsztokach, żeby uchodzić za wielkich ludzi, na których się nie poznano. Kto wie, czy nie wolimy już: brzdąkaczy noszących powiewne włosy, dlatego, że je sobie Liszt zapuszczał; bazgrałów nie mających z Wandykiem nic wspólnego prócz wąsów i hiszpanki, i romantycznych marzycieli, wybornie udających roztargnienie, które miał ktoś przed nimi, ale którego oni nie mają. Z takich widziano niekiedy dość pożytecznych nauczycieli muzyki, rysunku lub literatury, jeśli nie gorzelanych lub rewizorów na rogatkach. Ale co do ludzi niepoznanych, od których zamiast poezji czuć kminkówkę, na tych prędzej lub później poznaje się straż porządku ulicznego.

III

Skończywszy z człowiekiem, weźmy się do autora. Poe przedstawia osobliwszy fenomen realisty w fantastyczności. Uzbrojony w chorobliwe swoje usposobienie, anatomizuje on rzeczy nie mające ciała, analizuje to co nie ulega rozbiorowi, rozgląda to co *może* jest, ale czego *zapewne* nie ma. A tymczasem skalpel jego i czynniki chemiczne i drobnowidz, nie obawiają się bynajmniej zarzutów naukowych. Popiera je głębokie zastanowienie, zimna przenikliwość, ścisłość prawdziwie matematyczna, ale szczególnie niezblągana logika, nie mająca sobie równej. Logika ta, gdzieindziej chłodna tylko, u Edgara porywająca zarazem, jak strumień wód Styxowych unoszących w nieznanne podziemia, przesywa wprawdzie dreszczem, ale raczej to dreszcz gorączki, dreszcz wewnętrzny, jak jest i wewnętrznym światem, w który one wprowadza. Świat ten nie jest inny niż ziemski, nie jest on bezwarunkowo urojony, jak po większej części u Hoffmanna; owszem, powiedziećby można, że to świat codzienny, gdyby nie pewna indywidualna wyjątkowość wymagalna koniecznie, niby jako inicjacja do jego tajemnic. Idzie tu przedewszystkiem o usposobienie wysoce nerwowe. Stan ten rozstrojenia ogólnej harmonii zmysłów, stawiając człowieka w bolesnej niezgodzie z otaczającym go światem, zmusza go chronić się w siebie, i z fenomenów uludy robić sobie wyznanie wiary. Przypomina to stan przejścia w kształceniu się owadów, kiedy się znajdują dopiero w połowie swego udoskonalenia, to jest na drodze do dostania skrzydeł. Stan ten Michelet dość hypotetycznie porównał do życia embryona przedwcześnie zostawionego własnym siłom. Cechuje go niesłychana wrażliwość i pociąg do poszukiwań w ciemnościach. Rozpasana wyobraźnia Edgara wielce mu się nadawała do tego rodzaju studyów. Właściwie mówiąc, umysł ten niespokojny, niecierpliwy, wiecznie tęskniący po chorobliwemu, a zarazem dziwnie namiętny, nie mógł szukać innej drogi.

Jeden jest tylko punkt, na którym się on schodzi z Hoffmannem: to naiwność. Poe jest szczerzy na wzór dziecka. On, jak Hoffmann, widział i czuł wszystkie dziwactwa, które opowiada, żył w tym świecie, który opisuje, obcował z każdą z osób, które powołuje do działania; zkażdą nawet rzecz to nieunikniona, bo niemal każda z tych osób jest nim samym. W ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie ma u niego cudowności, niczemu tam się dziwić nie należy; tam wszystko jest *co najmniej* możebne, oparte na właściwych sobie prawach równie fizycznych jak moralnych, z których pierwsze upoważniła ścisłość badań naukowych, drugie, zaciekania się metafizyczne. Jednym słowem, jestto świat *względnie* tylko urojony.

A przecież dziwna to kraina, w którą nam wkroczyć przyjdzie za Edgarem! Kraina raczej możebności niż prawdopodobieństwa, — *le grand peut-être*, jakby powiedział Rabelais, — Alhambra, gdzie niewtajemniczony nie widzi nic, prócz bramy do wejścia.

Ale czarodziej stoi u proga z kluczem Salomona w pamięci, wymawia zakłętę słowo, i oto rozjaśniają się w oczach widza przestrzenie, których ani się domyślał wprzód; wszystko się rozświećla, spotężnia, olbrzymieje, jaskrawieje, rozszerza się dziwnie — do nieskończoności. Niezwykła rozprężliwość nadaje każdemu przedmiotowi kształty przesadzone i przez to spływające się z sobą; co większa, plastyczność zlewa się tam z pojęciami najoderwanśzemi. Cudowne krajobrazy, zawile wyrachowania matematyczne, najfantastyczniejsze zjawiska, głębokie kwestye ducha, przywidzenia, hipotezy i przeczucia, układają się tam w jakiś rodzaj tęczowej mozaiki, ruchliwej, niespokojnej, mieniającej się bez końca. — Kto wie? — powiadasz sobie, powoli wciągając się w te dziwa, i mimowolnie zaczynasz powątpiewać o rzeczywistości, którą zostawiłeś za progiem. Wrażenie podobne zarazem do hipnotyzmu i do upicia się haczychem, zdaje się zmysły ciała twego przenosić ci do duszy.

Taką jest fantastyczność Poego. Hoffmann jest niezaprzeczenie większym poetą od niego, a przecież bawi tylko, nawet wtedy kiedy przestrasza; Poe umie zelektryzować, zmrozić szpik w kościach, popędzić krew do mózgu i do serca. Pomimo tego jednak, czujesz, że sam mistrz pozostał chłodnym, opamiętałym, panem siebie; że jeśli ciebie spoił, sam został trzeźwy. Niekiedy zdaje się być porwany własnym zapałem, mówi z uniesieniem lirycznym pełnym entuzjazmu; sądziłbyś, że jest pod wpływem natchnienia, któremu sam nie włada; ale to tylko forma nieco więcej ludzająca: on, jak zawsze, bada tylko, porównywa, wnioskuje. On przedewszystkiem realista, logik bystry. On jeśli hallucynacyę podniósł do godności dogmatu, a opętanie umiał ująć w teorię, znalazł przynajmniej sposób być jasnym w wykładzie tych ciemności, po których się błąkał; jeśli dziwactwo przeszło u niego w monomanię, nie zabraknie mu syllogizmu na obronę swoich zasad. Raz wzięwszy sobie za zadanie studyować wyjątki od zwykłego rzeczy porządku, nietylko nie zatrzymuje się przed żadną trudnością przeprowadzenia tego co widzi być prawdą, ale nawet idzie dalej niż ktokolwiek z tych, co szli przed nim tą samą drogą. Pierwsze przemawia na korzyść jego dobrej wiary, drugie wiąże się ściśle z jego usposobieniem głęboko logicznem. U niego żądza zbadania ciemności ma na celu konkluzye moralne. Niby, według niego, dobrze urządzone życie nerwowe, zdolne jest wynieść materję do stanu natury duchów czystych. Jemu idzie nieustannie o wyprowadzenie człowieka na bity gościniec wiodący do dobrego, a to za pomocą wyrachowania środków przyjaznych, mogących się zgodzić z zasadami Przedwiecznemi, które według niego stanowią zawiązek społeczeństw, utrzymują je, kierują nimi, ale tymczasem pojedynczego człowieka zostawiają niejako własnemu przemysłowi.

Takim jest realizm Poego. On przez logikę idzie do logiki. U niego logika jest nietylko środkiem, ale i celem; nietylko przyczyną, ale i skutkiem. Jestto niby kłębek Aryadny, który prowadzi po ciemnościach, nawijając się sam na siebie, żeby u kresu drogi stać się zupełnym. Dlatego, jakbądź nieraz pozory są potemu, żadnej z prac Poego nie należy uważać za próżne zmyślenie. U niego, co utwór, to zagadka Sfinksa. W najulotniejszym, szuka on rozwiązania jakiego problemu. Upodobanie jego do malowania chorób umysłowych, męczarni wewnętrznych, katuszy dusznych, które wyobraźni tak obszerne przedstawiają pole, a tyle ciekawych fenomenów skrzętnym budownikom systematów metafizycznych, nie jest częścią sztuką dla sztuki. W ogóle teorie jego mają pozór tych mglistych, przezroczych marzeń, których ojczyzną bywa śnieżne niebo Północy, blade zakrwawione biegunową zorzą. Ktoś nawet powiedział o nim, że jest Swedenborianinem.

Ale to nie jest prawdą. Poe nie zbywa czytelnika wielkimi z pozorów, a w rzeczy wiele pustymi słowy, ani nie odurza go formułami, których niepodobna rozwikłać z ich udanej zwięzłości. Położywszy zasadę (jakkolwiek najczęściej, jeśli nie zawsze hypotetyczną) rozwija ją jasno, szczegółowo, dostępne, i wyczerpuje wszystkie jej zasoby, z całą mocą udzielającego się czytelnikowi przekonania. Nic systematyczniejszego nad jego wywody, nic więcej wykończonego nad rezultata, do których dochodzi. Metoda jego w tym względzie może służyć za wzór do naśladowania. Takim jest Poe, pracowity a głęboki myśliciel, choć z pozorów nowellista tylko, jak wielu innych.

Z kolei powiedzmy słów kilka o zewnętrznym charakterze jego utworów. W braku dosadniejszego wyrażenia daliśmy im miano Nowelli. Właściwiejby może nazywać je anegdotami filozoficznymi. Jakoś-bo od nowelli wymaga się więcej ruchu, urozmaicenia, w ogóle więcej mechanizmu powieściowego, o co Poe zdaje się nie dbać wiele. A przecież i jego utworom nie zbywa na warunkach dobrze przeprowadzonego opowiadania. W ogóle forma ich jest prosta, lakoniczna, kunsztownie ześrodkowana, i wszędzie więcej treści jak słów, co spowodowuje, że wrażenia promieniują od każdej z najdrobniejszych części składowych, z potęgą ściśle jednakową. Niektóre z tych utworów zakrawają na poemata, inne znowu nastrają jakiś humor nerwowy, febryczny, podobny do serdecznego śmiechu, którego się dostaje od łaskotania. I zawsze przewiewa je nawskróś jakieś jeszcze wrażenie dodatkowe, niby stanowiące powietrze obrazu. To konieczność niezblągana, to tylko co spełniona lub się spełnić mająca katastrofa osobliwsza, to jakieś dziwaczne warunki bytu pewnych rzeczy lub pewnych zdarzeń. Niekiedy nastrój przychodzi od natury zewnętrznej lub wyjątkowego usposobienia bohaterów. Parne cisze przed burzą tamujące oddech w piersi i przyspieszające serca bicie; stan przychodzenia do sił po przebyciu ciężkiej choroby; zwrotnikowe pogody olśniewające blaskami słońca i meteorów nocy, ponapajane rozkosznymi wyziewy, ale od których nerwy miękną i rozstrajają się na wzór strun muzycznego narzędzia; jakieś przywidzenie somnambuliczne, lub niepokój nieokreślony, nieujęty, cisnący lży do oczu nie wiedzieć czemu; zgiełk miasta, powaby pustyni, lub okropności jakiegoś nieznanego świata. A tło tego wszystkiego stanowi osobliwsze jakieś niebo nie tutejsze, którego barwę, niby fioletową niby zielonawą, zdają się przesłaniać magiczne tumany pyłów złotych. I słońce, inne jakoś niż nasze, najczęściej krwawe, zdaje się z trudnością przenikać atmosferę, niepokojoną ciągłym dreszczem. A i postacie występujące na tłach tych, żyją także jakoś po niepodobnemu. Rzadko napotkasz tam kobiety. Za to zwykle chore lub umierające na nieznanne cierpienia, posiadają dziwną potęgę ducha, niesłychane zasoby wiedzy, w połączeniu z darem proroczym. I wyglądają jakby uwieńczone światłami, i rysują się jakby na tłach lazurkowych, i poruszają się pośród mgły nadprzyrodzonej — nieujęte, pełne wdzięku zjawiska, ku którym wyrzyna się dusza. Widocznie tak a nieinaczej uosabiał sobie miłość, ów niepoprawiony marnotrawca szczęścia. — Co do opisowości Poego, łatwo pojąć, jak musi być hojna, bogata, szeroka. Ma on osobliwsze upodobanie do form wspaniałych. Ten sybarytyzm umysłowy wyznaje nawet otwarcie w jednym ze swych poematów traktującym o sztuce: „Nie należy, — powiada on, — bohatera poematu zniżać do niedostatku, gdyż niedostatek jest rzeczą nieszlachetną i przeciwną pojęciu piękna. Nieszczęście nawet mieszkając powinno w świetnych komnatach, urządzonych wspaniale.” — Ztąd nie trudno wytłumaczyć sobie, dlaczego zbiór swoich utworów nazwał *arabeskami*. Święto istotnie szczerozłote floresy, dziwnie poprawnych, choć zuchwałych, prawie szalonych zarysów, odkreślające się wyraźnie, z sobie tylko właściwych wdzięków na tle z perłowej macicy, mieniącym się w blaski i cienie. Tylko, że spleta się też z niemi płomienista płatanina *dziwadła*, przypominających fryzy gotyckie i malowidła pergaminowych rękopismów. Pełna bojaźni Bożej fantastyczność średniowieczna, uosobiła w nich powabne w swojej ohydzie kształty *Wroga Rodu*. Coś koniecznie kusi przyglądać im się, choć się wstrząsa dusza. Takimi to hieroglifami poprzyozdabiał Poe ściany tej tajemniczej świątyni, u której wejścia położył napis: „Kto wie? być może”. Jak widzimy, wcale nie chybił, dając utworom swoim miano: *dziwadła* i *arabesków*.

Jak powiedzieliśmy, Poe wziął sobie za zadanie szukać prawdy w możebnościach. Wśród tych podróży po nieznanym bezbrzeżach, za bussolę wziął sobie jasnowidność spostrzegaczą, a logika jest mu rudlem, którego ani na chwilę nie wypuszcza z dłoni. Metoda jego w tym względzie warta jest zastanowienia. Szykuje on prawdopodobieństwa,

nie według pewnych, raz na zawsze przyjętych zasad, ale stosownie do stopnia uzdolnienia wyjątkowego, stosownie do liczby, czy potęgi, środków umysłowej przezorności, która się udziela czytelnikowi, jakby coś zaraźliwego. Za typ w tym względzie przedstawia on niejakiego Dupin. Zdolności analityczne tego człowieka podniecane ciąglą wprawą, doprowadzają go do cudownych rezultatów — „Umysł wynalazczy” — powiada Poe, — „musi mieć koniecznie żywą wyobraźnię, a wyobraźnia, to tylko spotęgowana analiza. Nie zastanawiając się nad słabą stroną tego założenia, podziwiać należy głębokie a dziwnie pracowite studia nad zmysłem postrzegawczym, od których Poe rozpoczyna zbiór swoich nowelli. Jako pole popisu, czy raczej szkołę w tym względzie, rozbiera on grę w warcaby, w szachy i w wista. Radzi nie tyle uważać na grę, ile na grających; ztąd naturalne pierwszeństwo wistowi, jako przedstawiającemu więcej kombinacji, ze względu liczby osób należących do gry. — „Przedewszystkiem,” — powiada on, — „należy się nauczyć fizyognomii swego partnera, żeby mózdz rozróżnić nastrój wrażeń na niej występujących od tych, które się ma uważać na twarzach przeciwników. Następnie trzeba uważać sposób zadawania kart u każdego. Można także z pewnych oznak zadowolenia poodgadywać, jakie w każdym ręku znajdują się atuty i honory. W miarę postępu gry zapisując sobie w pamięci wyraz każdej twarzy, nagromadza się sobie nieobrachowany kapitał spostrzeżeń, z których każde prowadzi do osobnej korzyści. Po sposobie zbierania lewy, odgadnąć można, czy zbierający ją zrobi niebawem drugą. Łatwo też rozpoznać podstęp po sposobie zadania. Przypadkowe, mimowolne słowo, upuszczona lub odwrócona karta, którą się chwyta z pośpiechem, obawą lub niedbałością, rachowanie lew i porządek ich układania, pomieszanie, wahanie się, ożywienie, niecierpliwość: — wszystko to powinno być graczowi zbiorem skazówek, prowadzących do téj przedziwnej pewności, którą nie znający rzeczy mogą brać za traf tylko. Wprawny obserwator, zaraz po pierwszych zadaniach wie już dokładnie, co się znajduje w czyjém ręku, i może grać na odkryte. — Oto jest przykład systemu dyagnostycznego, jaki Poe lubi stosować do życia. Idąc tym torem, Dupin doszedł do tego, że umiał wypowiadać ludziom nie już myśl ich, ale bieg ich myśli. Nie będziemy się dłużej zastanawiali nad tym uosobionym syllogizmem. Spaja on w pewien rodzaj trylogii trzy nowelle (*Podwójne morderstwo przy ulicy Morgue, Tajemnica Maryi Roget i List skradziony*) nie mające innego związku nad jedność przedmiotów. W każdej z nich idzie o wyświecenie prawdy w jakimś dziwnie zawikłaném zdarzeniu, do czego nie wystarcza już zwyczajna, choćby najprzebieglejsza rutyna śledcza. Do tego samego rodzaju łamigłówek sądowych zaliczyć należy i *Chrzyszczca złotego*. W ogóle są to studia jasnowidztwa spostrzegawczego, zastosowanego do celów policyjnych. Miał to upodobanie i Balzac, Dante rzeczywistości XIX wieku. Umysły analityczne lubią tworzyć sobie trudności dla łamania się z niemi, tak, jak niespokojne męztwo szuka niebezpieczeństw, dla samej możebności skręcenia karku. Co do wynalazczej fantazyi w podobnych studiach, co do sumiennosci, co do jasności w ich przeprowadzeniu, Poe nie ustępuje Balzakowi.

Wspomniany wyżej Dupin, i Legrand bohater *Złotego chrzyszczca*, sąto ludzie z upodobania, z powołania nawet zaciekający się w możebnościach. *Porwanie do Maelstromu*, wystawia nam człowieka, w którym niebezpieczeństwo obudza zagnała ten zmysł obserwacyjny, mogący być w tym razie brany za jedno z zachowawczym. Prosty rybak norwęski w powrocie z połowu, wciągnięty został wraz ze statkiem w wir, z którego nikt jeszcze nie wyszedł żywy. Znajdując się już w samym lejku otchłani i nie mając nic do stracenia, począł on rozważać warunki szybkości wirowania i zagrażania się w przepaść mnóstwa innych przedmiotów, wraz z nim porwanych w ten taniec śmierci. Na skutek przekonania, jakiego nabral w tym względzie, zdecydował się wyskoczyć ze statku, uczepiwszy się beczki, co go istotnie uratowało za powrotem przyplywu morza. Wir Maelstromu (który mówiąc nawiasem, znajduje się istotnie pod 68 stop. szerokości północnej, na wysokości Loffodenu), objaśniony tam jest z dokładnością szczegółów, zdolną przynieść zaszczyt prawdzie bezwzględnej. Nie spuszczajmy jednak z uwagi, że zdarzenie samo, czyli raczej myśl wydzwignienia kogoś z podobnej katastrofy, jest czysto hypotetyczną. — Odtąd też wkraczamy już w krainę przywidzeń, w studia nad życiem wewnętrzném, przez które Poe idzie zuchwale do rezultatów najoderwańszych. Zaczął je od ogłoszenia *istotnej prawdy względem tego, co zaszło u pana Waldemara*. Fizyologiczna ta facecya ma tak namiętny pozor przekonania naukowego, że uwiodła nawet wielu ludzi poważnych. Niby o zdarze-

niu tém mówiono już wiele, pisano nawet niemało, że zaś gorące dyskusje za i przeciw doprowadziły do przesady i wykręcania faktów, widzi się zatem autor zmuszonym dla miłości prawdy, wypowiedzieć nareszcie, jak się właściwie rzecz miała. Szło tam o dowiedzenie się: 1) Czy w chwili śmierci umierający może ulegać wpływom magnetyzmu? 2) W razie możebności tego faktu, czy związek magnetyczny wzmacnia się wtedy, czy słabnie? i 3) Czy niepodobnaby tym sposobem dowolnie zatrzymywać ulatujące życie? Próby robione przez autora rzecz wyjaśniającego, zakończyły się najświetniejszą zdobyczą naukową. Wola magnetyzera pokazała się być naraz silniejszą od posłannictwa Anioła Śmierci — czyli, co na jedno wyjdzie, od woli Bożej. Przekonanie podobne niekoniecznie jest prawowiernem, bądź co bądź Poe wyznaje je sobie w szczerości ducha. — „Człowiek,” — powiada on, — „umiera jedynie w skutek słabości swojej woli. Gdyby mógł chcieć dość silnie, od niegoby tylko zależało módz i żyć wiecznie.” — Myśl tę lubi on rozwijać dość często, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. W obecnym razie, w miejsce nie dość silnej woli umierającego, przedsięwziął podstawić potężne chcenie życia w pełni. Blizko 7 miesięcy trwał ten stan uwięzienia duszy w ciele, którego jęj opuścić nie dano. Zjeżdżali się zewsząd lekarze, fizyologowie, badacze, uczeni, skwapliwie zapisując spostrzeżenia, o jakich dotąd nie marzyło się nikomu. Gdyby ich nie była zdjęła ciekawość dowiedzenia się: jak też będzie wyglądał po obudzeniu? nieboszczyk Waldemar spałby do dzisiaj. Bądź jak bądź, pozór powagi naukowej tego ułamku nie ma sobie równego. — W innej nowelli, noszącej napis *Objawienia magnetyczne*, Poe prowadzi doświadczenie swoje dalej nierównie; powiedziecby można, że tam dopiero zbiera owoce jego na właściwej drodze. Niejaki Vankirk nie wierzący dotąd w nieśmiertelność duszy, znajduje się podobnie jak Waldemar, *in articulo mortis*. Ma on pewne wątpliwości na korzyść tej wiary, ale mu daleko jeszcze do przekonania, bo, jak powiada: — „spekulowanie na abstrakcy, to tylko czcza gimnastyka umysłowa, dająca przymiot za istotę.” — W tém tedy niby przecuciu, niby półwierze, pragnie poddać się wpływowi podniecenia magnetycznego, ku któremu czuje pociąg. Stan bowiem jasnowidztwa oprócz korzyści dotykającego zetknięcia się z rzeczami, których w normalnym stanie namacać niepodobna, przedstawia jeszcze według niego fenomen współczesności pomiędzy przyczyną i skutkiem, pomiędzy rozumowaniem i jego konkluzją: co zaprowadza między nimi poniekąd solidarną odpowiedzialność. Jeśliby się zatem udało, za pomocą łańcucha systematycznie prowadzonych pytań, powyciągać jakie dane w tym względzie, możnaby z tego utworzyć pewien rodzaj rozumowego katechizmu, mającego te same zalety, co protokół śledczy na gruncie. Katechizmu tego nie przeczytał jednak nigdy, bo skołał z ostatnią jego kartą, co nie przeszkadza, że wprzódy kwestyę wyczerpał aż do dna. Tak więc, powiedziecby można, że umarł w samą porę. Nawet sądzić się godzi, że poszedł na tamten świat najzupełniej uleczony z swoich wątpliwości, co jest także nie małą zasługą, zważając, że katechizm, który go do tego doprowadził, nie każdego nawrócić byłby w stanie. Sąto teorie panteistyczne, przepędzone tylko przez nieco subtelniejszy alembik.

Człowiek, według Poego, gdyby był w stanie odrzucić ciało, przestałby istnieć na własny rachunek, i wtedy stałby się koniecznie Bogiem. Ale to jest niemożliwe, inaczej przypuściłoby należało, że czynność Boża może wrócić nazad, co by ją robiło bezcelową. Człowiek jest stworzeniem. Stworzenia są to myśli Boże. A myśl nie może być jak tylko nieodwołalną. Zatem śmierć nawet nie uwolni nas od ciała. Da nam tylko inne, doskonalsze, doskonale zupełnie, skończone, nieśmiertelne. I wszystko wtedy mieć będziemy insze, jedną tylko wolę zabierzemy z sobą. Wola zdolna jest spoić dwa życia, dwa światy, sięgać po za grób, jak i z po za grobu. Bo też człowiek jest myślą Bożą, częścią Boga. A Bóg, to tylko jedna wielka wola, przenikająca wszystko własnością swojej potęgi. Człowiek dla tego jedynie ustępuje Bogu i poddaje się śmierci, że będąc tylko częścią Jego całości, nie może Mu stawić dość silnego oporu. A przecież, w miarę słabych środków swoich, jakże jeszcze potężnym być może!

Z pewnością nie było na świecie kobiety więcej kochanej jak Ligeja; ani też uczęszszej, ani mniej życzącej sobie umierać. Jęj oczy były to dwie zagadki, dwie głębie. Z pozoru łagodna, spokojna, zimna jak sfinks kamienny, wewnątrz pożerco trawiona żądzą wiedzy, zbliżyła się przedwcześnie do tego tajemniczego progu, służącego za wejście do państwa Cieniów. Nie ma słów na opisanie szalonego pasowania się jęj z tą smutną koniecznością,

na spotkanie której wyszła sama. A jednak, do ostatniej chwili, mimo wszystkich męczarni wewnętrznych, jakże rozpaczliwie pozostała panią swego stanowiska! Nie mogąc żyć po raz drugi, zapragnęła przynajmniej umrzeć dwa razy. Warto przytoczyć pieśń łabędzią własnego jęj niegdyś utworu, którą kazała sobie śpiewać przy łożu konania o północy:

— Ach! otóż noc zabawy po tylu oplakanych latach! Tłum skrzydlatych, zasłoniętych, zalanych łzami aniołów, zasiadł miejsca teatru, dla przyglądania się dramatowi obaw i nadziei, podczas kiedy orkiestra wzdycha w przestankach sfer harmonią.

Mimowie, stworzeni na podobieństwo Boga z Wysokości, polatują to tu, to owdzie, szepcząc z cicha, biedne lalki, przychodzące lub oddalające się stosownie do rozkazu ogromnych, bezkształtnych istot, które strząsając ze swoich sępich skrzydeł niewidzialne nieszczęście, przenoszą scenę gdzie im się podoba.

O! ten pstry dramat, — doprawdy zapomnieć go niepodobna! Z tém jego widmem wiecznie ściganém przez tłuszczę, która go nigdy nie schwyta, ponieważ bieży po okręgu koła zawsze wracającym tam zkąd wyszedł. A duszę intrygi stanowi wiele szaleństwa i więcej jeszcze grzechu, ale Grozy najwięcej.

I patrzcie — cóż to za pelzająca postać wchodzi na scenę w tłum mimów! Coś czerwonego od krwi, wywijającego się z najustronniejszej części sceny, pełźnie, wije się, rozciąga. Mimowie, zdrtwieni śmiertelną trwogą, stają się jęj pastwą, a Serafowie łkają, widząc, jak zęby gadziny przeżuwają spiekłe kawały krwi ludzkiej.

Wszystkie światła gasną — wszystkie — wszystkie: i ponad tą widownią przejmującą dreszczem, z gwałtownością burzy zapada zasłona podobna do ogromnego całunu, a Aniołowie bledzi i drżący, wyznają wstając i odsłaniając twarze: że dramat ten, to tragedia nazwiskiem człowiek, której bohaterem jest Zdobywca Gadzina.” —

Bez wątpienia, wola to umierającej działała, że niebawem po jęj śmierci dano jęj następczynię. Rozpacz, opętanie, konieczność jakaś niepojęta, popychająca do szukania państwa dla ulżenia boleści, skleiły ten nowy związek wynalazku szatana. W bezludnej gdzieś okolicy, w jednej z wież opuszczonego jakiegoś opactwa, z fantastycznym zbytkiem urządzono komnatę ślubną. W pomysłu tym uwydatnia się najwidoczniej artystyczna strona pijaństwa Poego; chorobliwa jego wyobraźnia, podobająca sobie w ponurych przywidzeniach umysłu owładniętego przez opium, działa sama jak coś odurzającego. Lubi ona być prawdopodobną jak zachcenie czarodzieja, plastyczną jak wyrzeźbione dziwactwo, szczegółową jak ostatnie rozporządzenie, dokładną jak rachunek. Komnata nowożeńców była to wielka, pięciokątna sala, o nadzwyczaj wysokich ścianach. Jedyne jęj okno stanowiła, od strony południowej ogromna szyba szkła weneckiego tak ciemnej barwy, że promienie słoneczne, przechodząc przez nią, stawały się księżycowemi. Prócz tego, zacieniona jeszcze była splotami winorośli spinającemi się po gzemsach, i w części fantastyczną draperyą, o której będzie poniżej. Wyniosły sufit téj komnaty rzeźbiony z czarnego dębu, zaokrąglął się w sklepienie, ponajeżane najdziwaczniejszymi ozdobami, w stylu przez pół gotyckim, przez pół druidycznym. Ze środka jego, na złotym łańcuchu w długie ogniwa, zwieszała się lampa z tegoż kruszcu, kształtu kadzielnicy wschodniej w przejrzystą rzeźbę, przez tkankę której nieustannie przewijały się wężykiem różnobarwne płomienie. W każdym rogu komnaty znajdował się olbrzymi sarkofag z czarnego granitu, przemawiający z po za grobu mową hieroglifów, nie czytana od lat kilkutysięcy. Ale osobliwie obicia jęj, czyli raczej osłony tych ścian niesłychanie wysokich, jakże przerażające robiły wrażenie! Były to sute, fałdziste draperye z ciężkiej lamy złotej, puszczone wolno, poczynając od najwyższych gzemsów dotykających sufitu. Na jaskrawém tle ich, mieniącém się stosownie do barwy płomienia w lampie, występowały czarno tysiące kształtów, podobnych na oko do arabesków; ale kto się bliżej wpatrzył, rozpoznawał tam najdziwaczniejsze roje widziadeł, tajemnicze pochody poczwornych, przerażających postaci, przypominających zmory, jakimi pokusa udrećzała niegdyś niespokojne sny średniowiecznego mnicha. Każda zmiana punktu widzenia sprawiała w tych fantasmagoryach urozmaicenie nie mające końca, stosowny zaś przyrząd, wprowadzający nieustanne krążenie wiatru po za oponą, nadawał im pozór życia, przeszywający dreszczem do szpiku kości. Pośród tych wszystkich złowieszczych szczegółów, nie dających chwili wytchnienia, obrachowanych jedynie na niepokój umysłu, na udrećzenie duszy, wznosiło się łożo małżeńskie w stylu indyjskim, niskie, całe z hebanu, zapuszczone od szczytu oponą podobną do całunu. Na tém to łożu, nieszczęśliwa Rowena wkrótce ginąć zaczęła z nieznanj choroby, mając

przedwczesne widzenia z innego świata. Wreszcie umarła pewnej strasznej nocy, kiedy była najwięcej udręczoną, najżywiej przeklętą, kiedy z większą niż dotąd energią rozpacz wywołało wspomnienie, nigdy niezapomnianej Ligei, że aż przybyć musiała podobna do Cienia Cieni, dodając do udręczeń Roweny swoje własne widmo. Jednakże nie tu koniec wielkiego dzieła zamęczenia ofiary na kamiennym ołtarzu silnej woli. Po trzykroć zniszczenie śmierci z coraz natarczywszą siłą wpajało sępie szpony w te zwłoki marmurowe; za każdym razem uparcie wracało życie, nie już życie żywotne, ale pośmiertne, nieznanéj natury; nie już życie téj która była umarła, ale cudze, w téj świeżo przez nią opuszczonej powłoce; aż póki do ostatka nie znikła w sobie, i nie stała się tą, która raz jeszcze odżyć pragnęła — choćby mając umrzeć raz powtórny. Jakiej zaś natury było to życie, czyli raczej ta śmierć powtórna? sam Poe nie sięga już dalej — widać że i cel jego dalej nie sięgał. W ogóle nie jedno on zostawia do myślenia, do dokończenia w sobie, do dopełnienia czy też zaokrąglenia; na podobieństwo tych dowolności, jakie w zakończeniu swoich utworów zostawiali nieraz kompozytorowie muzyczni przyszłym koncertantom.

Morella jest to siostra Ligei z niejaką różnicą. Wyobraźmy sobie uosobienie szatana wiedzy, białego, wiotkiego, pięknego, ale bez żadnej wątpliwości dziwnie pedanckiego szatana, który każe się kochać, który zmusza do kochania, którego niepodobna nie kochać, bo jest potężnie wiedzący, potężnie pewny siebie, potężnie chcący. Wiemy czym jest tego rodzaju uczucie — poprostu miłością z obawy — nienawiścią, w innej tylko formie. Coś podobnego łączy zwierzę z jego ujarzmicielem, — tygrys lizać będzie rękę swego pana, rycząc z wściekłości. Sam kochanek Morelli wyznaje otwarcie, że płomień którymi ku niej rozgorzał, nie były płomieniami Erosa; że największą rozpaczą jego życia było to przekonanie z każdym dniem wzrastające, że nigdy nie potrafi ująć w pewną formę niezwykłej natury tego przywiązania, ani ustalić bląkającej się jego potęgi. Cóż więc dziwnego, że zapragnął śmierci swéj towarzyszkii; że kiedy się wreszcie zbliżać począł, znajdował kroki jéj zbyt powolnemi; że przeklinał miesiące zwłoki, potem tygodnie zwłoki, potem dni, wreszcie już tylko godziny. Umarła nareszcie, ale jednocześnie dając życie córce, i zapowiedziawszy przed zgonem, że ile obudzała wstrętu za życia, tyle będzie ubóstwiana po śmierci. Pomysł téj zagadki metafizycznej, obraca się na idei *ztożsamienia*, która według teorii Poego, polega na możebném *uwiecznieniu się* istoty rozumnej. — „O ile, powiada on, przez osobistość rozumiemy treść myślącą obdarzoną rozumem, i o ile jest pewnikiem świadomość siebie jako nieodłączna towarzyszka myśli; o tyle też świadomość sprawia, że jesteśmy *samemi sobą*, wyróżniając nas tym sposobem z pomiędzy innych istot myślących, i dając nam naszą tożsamość osobistą. Świadomość zaś tego ostatniego przymiotu, stanowi zasadę niepodzielności, która przy zgonie opuszcza człowieka, *a może go też nie opuszcza*”. Tę tedy możebność, robi on zależną od upodobanej przez siebie potęgi woli, i jak w poprzedniej novelli sprowadził za jéj pomocą śmierć powtórna, tak tu sprowadza odrodzenie.

W ustępie noszącym napis *potęgi słowa*, idzie dalej nierównie, bo ukazuje nam gwiazdę, stworzoną w przestrzeni za pomocą kilku słów namiętnych. Cudowna jéj zieloność zjiscza tam niewcielone nigdy marzenia, ale znajdującym się obok wyuzdanym wulkanom dała życie nie jedna chwila rozpacz i zwątpień. Bo wszelki ruch, *stwarza* koniecznie, a źródło jego tylko w woli być może, — a wola, to myśl której początek w Bogu. Dlatego wyobrazić sobie nawet niepodobna, ile to niespodzianek czeka nas na tamym świecie; chociaż nie myślmymy znowu, że się tam wszystkiego dowiemy odrazu. Bo szczęście raczej zależy na posiadaniu wiedzy, jak na niej saméj. Wieczną szczęśliwością jest wiedzieć na zawsze; ale wiedzieć wszystko jest potępieniem szatana. Najwyższy wprawdzie wie wszystko, ale to jest jedyna rzecz która mu jest tajną.

Jak widzimy, Poe nie cofa się przed żadną trudnością, że nie powiem niepodobieństwem. Życie wewnętrzne, tajniki Bożéj potęgi i niepojętych wpływów świata pośredniego, najoderwańsze kwestye tyżące się natury Boga i stosunku duszy do ciała; człowiek ten sięgnął po to wszystko i wszystko wypowiedzieć próbował — nawet potrafił. Niestrudzona żądza zapasów z trudnościami, popycha go nawet do rozwiązywania problematów, które nauka z rozpaczą pozostawia wiedzy zagrobowej. Nie są to już spekulacje filozoficzne, ale cierpliwe, metodyczne monografie, posiadające wszelkie pozory zasługi naukowej.

Posłuchajmy co opowiada Monos o swojej własnej śmierci. Zaprawdę myśl jest wielce dziwna. Ale też konający tylko mógł tak namacalnie studyować własne swoje stygnięcie, tylko sam zmarły do tego stopnia przypatrywać się własnemu rozkładowi. Trudno o dokładniejszą analizę stanu pośmiertnego, raczej może nigdyby się drugi nie pokusił współubiegać w tym względzie z Poem o lepszą. Miejmy też na uwadze, że Monos, to Poe sam w swiej osobie, z całym swoim niesmakiem do otaczającego go społeczeństwa, z całym zniechęceniem do tego fałszywego kierunku, w którym Ameryka dzisiejsza upatruje postęp, z całym swoim gorączkowym upragnieniem odrodzenia świata — choćby za pomocą oczyszczenia go ogniem. Bo nawet istotnie o ogień tam chodzi nie na żarty. Świat zestarzał się, zgrzybiał, zdzieciniał. Na domiar wszystkiego wymyślił demokrację powszechną, co mu Poe liczy za najkrytyczniejszy symptomat. Wyglądający lepszych czasów wzdychają do przepowiadanej oddawna katastrofy, która ma odświeżyć na nowo oblicze matki ziemi, oczyszczając je z obrzydliwości ran, porobionych przez chciwość handlarską i nieposzanowanie przemysłowe. Ale Monos nie doczekał już tej chwili szczęśliwej odrodzenia świata. Za to Eiros był naocznym świadkiem jego zniszczenia — nie wiemy tylko co je zastąpiło w przyszłości — ale mniejsza o to. Już i to, czego się dowiadujemy o smutnych losach naszej ziemi, jest rzeczą nie małej wagi. Jestem pewny, że nauka nie wieleby znalazła do zarzucenia tej wyrozumowanej hipotezie, obrobionej z tak ostróżną dokładnością.

Zanim zstąpimy wreszcie z tych mglistych wysokości, w których waży się nie jedno przeznaczenie, zatrzymajmy się chwilę przy obrazku, który nie da się przyczepić do żadnego wyłącznie rodzaju w zbiorze nowelli Poego, tak dalece się wyróżnia z pomiędzy innych melancholiczną jakąś pogodą dającą wypocznienie. Nie brak wprawdzie i tu żywiołu okropności, przestrzegającego powagi, jak niegdyś zwłoki zmarłych na ucztach egipskich; ale przynajmniej zarysy są miększe, tony łagodniejsze, koloryt nieco mniej szary. Obrazek ten przypomina świetlaną emalię, oprawną w ciemne, ponurego blasku perły, które w braku innego wyrazu, nazwano czarnemi. Postać kobiety jest jego główną ozdobą, kobiety młodej, pięknej, pełnej życia, a przecież znikłej przedwcześnie w sposób osobliwszy, bo jakby wsiąklęj w swój własny portret. Jest to raz jeszcze cud potęgi woli, tą razą nieświadomęj nawet siebie. Był młody malarz namiętnie rozkochany w swiej sztuce; ale przenieśli się jęj dla świeżej twarzyczki dziewiczej, i groźna rywalka poprzysięgła mu zemstę. Skoro przedsięwziął przenieść na płótno ubóstwione rysy dziewczyny, stało się, że przestał być panem siebie. Zapragnął blasku jęj oczu, uśmiechu ust jęj, białości szyi i ramion, rumieńców twarzy, wreszcie krwi żył jęj, serca, piersi, — słowem całego jęj życia. Więc też stopniowo śmiać się przestała, pobladła, poczęło słabnąć bicie jęj serca, i stała się wreszcie czemś niedoścignionem żadną fantazyą na świecie; wyciągnięta z siebie, wyzuta niejako sama z siebie, uleciała z ostatniem pociągnięciem pędzla, i nawet miłość kochanka nie była w stanie wstrzymać jęj lotu. Za to obraz jęj wyraźnie żyje, jak to powiadają. Widział to na własne oczy pewien podróżny w opuszczonym jakimś zamku w Apeninach, i wyczytał objaśnienie tego dziwu w załączonej obok książeczce. Bo trzeba wiedzieć nawiasem, że Poe umie poradzić na wszystko i nigdy się niczem nie zakłopotuje. Ale też prawdopodobieństwo jego opowiadań nie polega na tak drobnych szczegółach; sięga ono raczej treści rzeczy, i z tej też strony, względnie biorąc, zarzutu mu zrobić nie łatwo.

Jak powiedzieliśmy już nieraz, Poe ani na chwilę nie ginie po za swemi kreacjami. Owszem, czujemy nieustannie, że to on sam jest każdą z nich, — wszędzie on, i to on tylko. Dlatego dziwnie to ciekawe studyum psychologiczne, uczyć się go z jego własnych studyów. Biorąc go takim jakim się sam wypowiada, niechcący mamy klucz do wytłumaczenia sobie nie jednej niekonsekwencji jego życia. Przypatrzmy się naprzykład jego kobietom. Wszystkie są przedziwnie czyste, — on widocznie kochał tylko Wirginię, tę piękną, cierpliwą Wirginię, którą jednak zabiła jego rozpusta. A przecież tej ostatniej nie podniósł on nigdy do godności przekonania. Jak już wiemy, rozpusta jego duszy niema nic wspólnego z ciałem.

Nie jeden względ zbliża Poego do Byrona. Najprzód podmiotowość jego; następnie badawczy, niespokojny, gorączkowy umysł, żądny odkryć w sferze ducha, oraz szukania dróg nowych tam, kędy nikt jeszcze nie stąpał; ale najwięcej podobno sceptycyzm w rze-

czach zbrodni, czyli raczej wiara w powołanie do niej człowieka. Tę ostatnią starał się nawet ująć w wielce systematyczną teorię.

Nie łatwo wypowiedzieć, z jak metodycznym upodobaniem, umysł ten tak niezmiernowanie analityczny, tak chętnie szukający trudności do zwalczania zagrażał się w te ciemne, przepaściste głębie sumienia, gdzie tyle jest do studyowania, niczym nie wytłumaczonych popędów. Przywykł sprowadzać wszystko do następstw loicznych, próbował też usprawiedliwić następstwa wpływów nadprzyrodzonych, których człowiek nie bywa panem, sprowadzając je do loicznych przyczyn; a że miał zawsze gotowe formuły na określenie najoderwańszych pojęć, dał im nazwę *ducha przewrotności*. Ten żywioł złego jest niejako kusicielem *ad hoc*, kieruje on bowiem nie czynnościami człowieka zwykłymi, ale temi, które popełnia wyjątkowo. W tym względzie rozróżnia Poe popędy grzechu pierwotnego, pochodzące raczej z bielma na oku, wystawiającego dobrem co jest złe istotnie; od popędu, który nas popycha broić złe, jedynie dla miłości złego. Za przykład przedstawia wrażenie człowieka spoglądającego w przepaść. — „Nie ma, powiada on, tak nieukróconej, tak wścieklej żądz w naturze, jak pociągający powab otchłani. Pomyśleć wtedy choć chwilę, jestto zginąć bez ratunku, bo namysł koniecznie każe się cofnąć, a tu już i tak idzie o zrobienie naprzekór własnemu ocaleniu; cóż dopiero, jeśli się jeszcze dołączy do tego sposobność zrobienia na złość dobrej radzie. Kto więc nie jest dość silny oprzeć się pokusie, nie uniknie zguby.” — Jak widzimy, studia nad tym drętwiącym duszę pierwiastkiem złego, krążą około wypadków słabości woli ludzkiej, tak jak poprzednie miały za zadanie wykazywać możebne cuda jęj potęgi. Co zaś do idei ducha przewrotności, sofizmat ten, zaledwieby zasłużył na prawo obywatelstwa w dziedzinie psychologii, gdybyśmy mu dali właściwe jego miano, *zapomnienia się, odejścia od siebie, wreszcie opętania*. W tym względzie, powiastka nosząca napis *Czarny kot*, zasługuje na osobliwsze pierwszeństwo. Ma ona za sobą całą powagę jednej z najgłębszych prawd fizjologicznych, która powiada: że nie ma zgubniejszej choroby moralnej nad gorzałkę. W ogóle we wszystkich nowellach należących do łańcucha niniejszej treści, prócz idei przesładowczej, popychającej do złego, występuje jeszcze głos sumienia w rozmaitych swoich objawach: stanowi to moralną stronę teorii ducha przewrotności, bezpośrednio przykuwającą karę do winy, na podobieństwo kuli, która się wlecze u nogi galernika, gdziebądź się on ruszy. Sumienie to wygląda wprawdzie raczej na jakiś rodzaj grania w duszę ludzką jak w piłkę ku uciesze szatana, wreszcie nawet na drugie, potężniejsze jeszcze od pierwszego, opętanie; bądź jak bądź, wybija się jednak klin klinem i sprawiedliwość się staje, a na tém właśnie rzecz główna. *Człowiek thumu* jestto nie znany zbrodzień, noszący w sobie tajemnicę swego czynu. Nie zna on ani snu, ani wytchnienia, zmuszony jest zagłuszać się nieustannym ruchem, ale nadewszystko nie może ani chwili pozostać samotnym. *William Wilson* udręczany jest przez swego sobowtóra, wyjawiającego światu jego niegodziwość. W *czarnym kocie* zabójca zdradza się po pijanemu; w *Sercu oskarżającym* ma przywidzenie jawności swego czynu, i tém go właśnie wyjawia; a w *Duchu przewrotności* dzieje się to za pomocą nieustannego podszeptu, który się w końcu pomienia na siłę z wolą zbrodniarza. Wiedząc już, jak wiele Poe wkłada siebie samego w swoje utwory, przypatrzmy mu się mimochodem, w niektórych ustępach tej seryi studyów nad objawami sumienia, gdzie widocznie spisywał symptomata własnych swoich udręczeń, bo tyle tam prawdy chwytanęj na uczynku. W *Williamie Wilson* opisuje on pobyt swój na pensyi u doktora Bransby, następnie rozpustne życie swoje w uniwersytecie. Zapewne nie wszystkie szczegóły są tam prawdziwe, wiele jest może przesady; ogólny ton jednak zdradza głęboką skruchę spowiadającego się, który się czerni w obawie, żeby nie był zbyt mało szczerym. *Człowiek thumu* jestto widocznie on sam znowu po stracie Wirginii; sam jeden na całym świecie, a jednak nie mogący zostać ani chwili w zbyt strasznym towarzystwie samego siebie. W *kocie czarnym* wypowiada skutki pijaństwa, z rozpaczą człowieka nie umiejącego się już wstrzymać na fatalnej pochyłości prowadzącej do obłąkania. — „Przecież,” — jak sam to mówi gdzieindziej, — „nie człowiek to, który nigdy nie próbował odurzenia, odkrywa cudowne pałace, albo dawne swoje nieco dziwne znajomości, w płomykach dogorywającego żarzewia. Nie onto spostrzeża przeciągające w przestrzeni zadumane zjawiska, których nie widzą ludzie powszedni, ani też rozmyślać będzie nad wonią jakiego nieznanego kwiatu; nie jego też umysł wtajemniczy się w słodki wpływ melodyi, która dotąd nie zwróciła niczyjéj uwagi.” —

I zaprawdę, niepodobna się dość wydziwić rozbijałości fantazyi, która stworzyć zdołała *Berennikę*, *Upadek domu Uher* i kilka jeszcze innych nowelli, mniej więcej podobnej treści. Jakiś przerażający wampiryzm uczuciowy, zdaje się jedynie ożywiać te postacie, poruszające się na tle siném, wśród horyzontów niezbyt przestronnych, poobwieszanych obłokami brzemieniami burzą, pośród parnego, zastałego powietrza, przejętego siarczanami wyziewy, lub stęchlizną podziemi. Obrazy te, które się widzi jakby po przez mgłę czy gazę, podobne są do niewyraźnych wspomnień z innego świata, które się przysniły, i siedzą na piersi, i uciskają oddech, i jeszcze po obudzeniu straszno do nich wrócić. Tu już wszystko dowolniej rozumowane, mniej jasne, i napróżno pytalibyśmy się autora: na zasadzie jakiejto konieczności August Bedloe wrócił powtórnie do życia, lub Berlifit-zing przedzierzgnął się w konia? Osobliwie ta ostatnia legenda jest okropna nad wszelki wyraz. Wrażenie to, nie tyle leży w jej obrazowaniu, które o wiele ustępuje drugim, ile w dziwnej zagadkowości jej pomysłu, prowadzącego nie wiedzieć dokąd. Przeczytawszy to, zdaje ci się, jakbyś zajrzał w nieznanne jakieś głębie, w których oko twoje napróżno dna szuka. Dopracowywasz myślą, więcej może, niż się to zamarzyło autorowi samemu.

Loiczną w tym względzie koleją, nienasycona skrzętność studyowania rzeczy wymykających się zwykłym warunkom bytu, doprowadziła wreszcie Poego do spekulacyjnych nadużyć, a ztąd do szukania piękna w samej okropności, w końcu już tylko w brzydocie. W rzędzie nowelli stanowiących ten oddział, niektóre, jak *Studnia i wabadło*, *Zjawisko czerwonej śmierci* i *Rękopism znaleziony w butelce*, są prawdziwymi arcydziełami obrazowania; inne przy wszystkich swoich zaletach obrobienia, wyglądają na „próżne marnotrawstwo dowcipu i talentu,” jakby powiedziała Narcyza-Gabryela. Wspomniany wyżej *Rękopism znaleziony w butelce*, wyróżnia się jeszcze nad inne jakąś myślą względnie prawdopodobną, opartą na hipotezie naukowej, która przypuszcza, że wody oceanu mają coraz rwistszy prąd ku biegunom, gdzie wreszcie przepadają w głębokościach ziemi. Dla zrobienia go loiczniejszym, pomysł tej fantazyi związany jest ze znaną legendą przeklętego okrętu, błakającego się wiecznie. Rozbitek jakiś pośród burzy, wrzucony został trafem na to widmo przepływające opodal, i na niem żegluję dalej ku krainom krańcowym, których nie zwiedził jeszcze żaden śmiertelnik. Myśl ta była szczególnie ulubioną Poemu. Dotyka jej mimochodem w *Nieporównanych przygodach niejakiego Hansa Pjaall*, ale osobliwie rozwinął ją w większej nad inne powieści, noszącej tytuł *Przygody Arthura Gordona Pym*. Powieść ta, w części z naiwności opowiadana, w części z urozmaicenia szczegółów, przypomina, nie wiedzieć czy fantastyczne czy prawdziwe podróże Melvilla. Spotykamy w niej wszystkie upodobania Poego zgromadzone razem. Zmysł spostrzegawczy przeprowadzony tam jest przez najrozmaitsze kombinacje, bądź już wypróbowane cząstkowo gdzieindziej, bądź też postwarzane dopiero z osobliwszém upodobaniem. Jestto anegdota jednotomowa dziwnie wynalazcza, dowcipna po filozoficznemu.

W oddziale nowelli, nad których rozbiorem zastanawiamy się w tej chwili, z niewielkim wyjątkiem przeważa żywioł humorystyczny. U pisarza tak poważnie myślącego jak Poe, dar ten wygląda na anomalie, i istotnie jest nią, zwłaszcza tam, gdzie się mięsza z okropnością. Od sprzeczności tej robi się niedobrze. Zdaje nam się widzieć wyszczerzającą zęby panterę, na której siedzi zwykle fantazyja. Wesolość ta jest nawet jakoś nie do uwierzenia. Gdybyśmy naraz ujrzeli śmiejącego się sfinksa, który siedział zadumany najpoważniej przez czterdzieści wieków, nie mielibyśmy przykrzejszój niespodzianki. W istocie jest jakieś zdziecinnienie starości w tym humorze kapryśnym, gryzącym, podobnym do mchu zjadającego nawet kamień, do rdzy zdolnej strawić nawet żelazo. Weśmy za przykład, najmniej jeszcze ze wszystkich okropną, a stosunkowo najpocieszniejszą przynajmniej w tym rodzaju powiastkę. Tytuł jej: *Cztery zwierzęta w jednej osobie*. Jestto Antyoch Epifanes, który po wymordowaniu własną ręką tysiąca pokrępowanych Izraelitów, obchodzi radosny tryumf własnej waleczności. Śpiewa na cześć swoją pieśń pochwalną, za co go okrzykują księciem poetów, i wkładają mu na czoło wieniec olimpijski. Przebrany tedy za żyraffę, ciągnie przez miasto wspaniałym pochodem, pełen chwały. Ma też za sobą orszak stosowny: lwa, tygrysa i lamparta, którym wolno jest wybierać do zjedzenia, kogo im się podoba. Ale naraz stało się to, czego nie przewidział. Dworzanie zapragnęli spróbować, jak też smakuje żyraffa. I oto rzucają się na księcia poetów, który zaledwie ma czas wziąć za pas nogi, i zmykać co tchu do hippodromu. Ten dowód cha-

rakteru w nogach, zyskuje mu oklaski całego narodu, oraz wieniec laurowy udzielany za zwycięstwo w biegu.

Jedyny ustęp zalecający się spokojnym, szczerym żartem, jestto *Pogadanka z mumią*. Autor skorzystał w niej ze znanej wiary dawnych Egipcyan, że dopóty dusza nie opuszcza ciała, dopóki ono nie ulegnie zniszczeniu. Zresztą zabalsamowany hrabia egipski zostawał właściwie w letargu tylko, czy coś podobnego; nie wyjęto mu zaś trzewiów, ani mózgu, ponieważ należał do rodziny Chrząszcza; nie należy się zatem dziwić zbyt mocno, że go z łatwością przywrócono do życia za pomocą cudownych skutków galwanizmu i że z nim rozprawiano jak najmiliej o polityce i różnych innych marnościach przy winie i cygarach aż do godziny 4ej z rana. Gawędka ta, przy całej swojej pozornej lekkości, pełna jest szczegółów głęboko naukowych, i stanowi poniekąd przejście do oddziału, w którym znowu humor ukryty jest jak najstaranniej pod powierzchownością powagi naukowej. Chcemy tu mówić o tych genialnych kuglarstwach Poego, w których z prawdziwie przewrotną przyjemnością igra hipotezami i możebnościami, robiąc z nich kaczki dziwnie potężnego życia. Próbę tego rodzaju mieliśmy już w *osobliwszém zdarzeniu pana Waldemara*. *Podróż balonem* narobiła gwałtu, jakiego przykłady tylko w Ameryce nie są bajecznymi. Wydrukowana w jednym z dzienników nowoyorskich, przyniosła mu nieobliczone zyski. W całym zbiorze nowelli Poego nie ma równie amerykańskiego puffa. Jestto ani mniej, ani więcej, jak dziennik przebycia oceanu Atlantyckiego w przeciągu 65 godzin, w balonie całkiem nowego pomysłu, opatrzonym przyrządem do kierowania. Artykuł poprzedzony był reklamą z wykrzyknikami, dużym i ozdobnym drukiem, jak przystało na mistyfikację, która chce uchodzić za prawdę po tamtej stronie półkuli. U nas właśnie dlatego obudziłaby podejrzenie, tam właśnie dlatego rozgorączkowała miliony ludzi na całe *godzin kilka*, a wiemy coto jest kilka godzin wyłącznego zajęcia w Ameryce. *Hans Pfaall* ma jeszcze kolosalniejsze zachcenie nad przekoływanie się z Europy do Ameryki: on zapragnął dostać się na księżyc. Ale co dziwniejsza, że dopiął swego; ale co jeszcze dziwniejsza, że miał zimną krew zapisać gruby zwój papieru wrażeniami swój przejażdżki; ale co najdziwniejsza, że znalazł sposobność wyprawienia tej przesyłki na ziemię pod adresem miejsca swego pochodzenia. Sąto nadzwyczaj pracowite, dziwnie metodyczne, dziwnie poważne komentarze jednego z najekscentryczniejszych przywidzeń na świecie. Istotnie, zrobiono tam wszystko co było można, dla uprawdopodobnienia tego, co jest z pewnością najwięcej podobne do kłamstwa; ale, jak powiada Nowalis, człowiek, któremu się śni, że marzy, jest najbliższy obudzenia się. Takie też robi wrażenie w czytaniu ta gimnastyka naukowa, w której lada chwila kark skrócić można. Czy się to stało Poemu? rzecz inna. On umie być panem swego położenia. On działa najczęściej z dobrą wiarą, a zawsze z dobrej woli. Paradoksa gdzieindziej będące roślinami egzotycznymi, u niego wyrastają we właściwej sobie strefie: nietylko mają korzenie, ale kwiat i owoc.

Na tém zakończymy rozbiór pism naszego autora.

Zbierzmy jeszcze w jedno kilka uwag rzuconych tu i ówdzie mimochodem. Poe przy całej swojej popularności nie stworzył jednak szkoły: jestto nauczyciel zbyt wymagający. I potem, zbyt mało może jest poetą, a znowu nie zawiele realistą. U swoich mógł tylko zrobić wrażenie reklamy na wielki rozmiar; po śmierci przebrzmiał rozgłosnie, ale także nie został w pamięci, bo nie wypowiedział wyraźnie potrzeb swego czasu. A przecież ani uprzedził swego wieku, ani się też spóźnił; ale zawsze byłby nie w porę, bo zbyt mało uwzględniał to co jest, wierząc tylko w to, co byćby mogło. Zresztą świat jego nie jest tutejszy. Nie ma społeczeństwa, wśród któregoby Poe nie wyglądał jak ognik błędny nie przyczepiony do niczego. Jeśli szukał wyjątków i zagadek, to dlatego, że sam był jedném i drugim. Jeśli chętnie obcował z możebnościami, to dlatego, że się wtedy tylko czuł w swoim towarzystwie. Fantazyja jego była mu rzeczywistością. Widzieliśmy go z rozmaitych stron jego, bo w każdej swojej myśli, każdego czasu, wszędzie którędybądź przeszedł, zostawił coś z siebie. Dziwaczne boleści, osobliwsze wiary, rozpaczliwe zachcenia, stanowią treść tego niespokojnego ducha, który „trawi się w sobie i świeci sam w sobie, jako lampa w rzymskim grobie”. Duch ten mieszkał w człowieku, z którym nigdy nie miał zgody. O człowieku tym powiadają, że upadł, że się sponiewierał, któż go sądzić się odważy? Pozwolimy tu sobie na zakończenie przytoczyć jeszcze jeden ustęp z dzieł tego genialnego szaleńca, który nigdy nie miał innego powiernika prócz siebie.

Jest coś rozdzierającego w tej smutnej elegii przypominającej minione lepsze czasy. Nic ona nie mówi, żeby kiedy wrócić mogły znowu. Tytuł jej jest: *Pałac nawiedzany*.

— „W jednej z najzieleńszych naszych dolin zamieszkałej przez dobre anioły, wznosił się niegdyś piękny i wspaniały pałac cały w światłach. Był to w państwie królowej Myśli. Nigdy skrzydło Serafina nie osłaniało budowy w połowie tyle pięknej, co ten pałac promienisty.....

Wędrowcy przechodzący przez tę dolinę szczęśliwą, mogli oglądać po przez dwa jasne okna orszaki dobrych duchów, snujące się harmonijnie przy dźwięku strojnej lutni, w około tronu wspaniałej królowej.

A brama pięknego pałacu uśmiechała się kością słoniową i koralem, i płynęły przez nią nieustannie tysiączne echa, których słodkim obowiązkiem było wyśpiewywać dźwięcznie roztropność i mądrość władczyń.

Ale synowie udręczenia w szatach żałobnych targnęli się na władzę królowej. Płacmy! bo już nigdy blask dnia jutrzejszego nie zaświta tej nieszczęśliwej. Chwała jej nawet jest już dzisiaj tylko mglistym wspomnieniem dawnych zapadłych czasów.

I dziś wędrowcy idący doliną, widzą tylko po przez zacerwienione okna, postacie niepewnych kształtów, snujące się niespokojnie wśród dysharmonijnych dźwięków. A tymczasem, zbladłymi drzwiami, na podobieństwo żałobnego a rwistego strumienia wali się poczwarna tłuszcza pękając ze śmiechu — bo nie umie się już uśmiechać.”—

Kogóż nie rozteścni to łzawe dumanie? Któż nie pozna w tej smutnej harmonii, głosu spowiedzi wydobytego z pod serca? Niestety! własna to dusza śpiewaka jest tym promienistym niegdyś pałacem, dziś rozpadającym się w gruzy i nawiedzanym przez dręczące duchy. Onto, a nie kto inny, nie umie się już uśmiechać i dlatego szydzić musi. A przecież siedlisko jego jest jak i wprzód w zielonej dolinie nadziei.....—

Takim był Edgar Poe. Jeśli wolno go podziwiać, to też go i pożałować należy. Ma Ameryka swoje proroki, które udręcza na wszelki przypadek, w obawie zapewne, czy nie są fałszywymi. Na jej obronę powiedziećby można, że się to dzieje bez jej wiedzy, ale cóżto za obrona! Łatwiej podobno obronić gorzałkę Poego, niż systematyczne upijanie się Kalifornią wielu milionów rozsądnej, praktycznej ludności, która to tylko uważa za nie swoje, co nie ma bezpośredniej styczności z hegemonią przemysłową aż do humbugu włącznie. Tam wszyscy równi — wyjąwszy tego, który rządzi narodem. Tam każdy w braku korony ma przynajmniej czapkę na głowie, jemu tylko jednemu świecić gołą łysiną, żeby wiedział, że on sługa wszystkich. Tam także człowiek mający skroń promienistą, potrzebuje zapewne zwlec z siebie ozdobę nie jedną, żeby mu przebaczone wreszcie złote wkoło głowy światła, których niepodobna zrealizować na dolary.

W Strykowie, d. 11 lipca 1861 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/edgar-allan-poe-i-jego-nowelle/>

Tekst opracowany na podstawie: Felicjan Faleński, Edgar Allan Poe i jego nowelle, "Biblioteka Warszawska", t. IV, 1861.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0212-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).